

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok II.

Łódź, niedziela 11 listopada 1945 r.

Nr. 16 (23)

J. A. KRÓL

Z WINCENTYM WITOSEM

odchodzi cała epoka dziejów wsi polskiej *)

Umarł Polak, chłop i polityk, który przeżył dwie wojny światowe, oglądał trzy Polski, a urodził się i wychował w Małopolsce w „najłagodniejszym” z trzech zaborów.

W tym zaborze, łagodniejszym dla życia narodu polskiego, największe korzyści wyciągnąć mogło i wyciągało — **ziemiaństwo**. W monarchii feudalnej krew, rody i tytuły polskie były nie mniej cenne niż austriackie: jak zresztą lekceważyć okazicieli, kiedy herby zdobyły nie tylko osoby ale fortuny, kiedy okazicieli reprezentowali europejski poziom oglady i oni to patronowali kulturze polskiej.

Niedaleko z Wierzchosławic do Krakowa. Wstępował młody Witos na tę scenę narodową, grająca się pod koniec wieku 19-go na ulicach starego grodu w dzień powszedni i w niedzielę.

Wciąż tu coś święcono, grzebano i witano. Sungły mu na oczach kontusze, karabele, gronostaje, dolmany i sukmany. Trzeci maj, pogrzeb Mickiewicza, przyjazd arcyksięcia... Oglądał w powozach „ostatnie matrony polskie”, „surowe dla siebie, pobłażliwe dla innych”, oglądał ostatnią galerię pysznych głów pańskich, które przesunęły się przez pracownię Matejki i po raz drugi w starych witrynach kasztelańskich domów, Goworków czasy jeszcze pamiętających, widział on — po Szarku — z drugiego pokolenia chłop, kochający Polskę, widział ją w łunie szlacheckiej, w chwale i grzechach pańskich.

Nie było nigdzie od wieku większej pompy narodowej jak w te lata, tu w Krakowie.

Pisał Żeromski: „Dookoła nęda” głód, ciemnota i ci... w swoich kontuszach i kitach”.

Kiedy wstępował młody Witos do księgarni krakowskich, nową ewangelię narodową podawano, gdzie Sienkiewicz mówił, że „z pomocą Bożą „et viribus unitis” (wspólnymi siłami) tych, co błękitnej krwi byli i są, będzie jeszcze Polska mieć wspaniałe dzieje.

Kiedy szedł na plac Panny Marii, z kościoła ujeżdżało wesele. Brał pan z panów chłopkę. Ona miała zaszczyt i rozplywała się w słodkości. A rodzina, a sąsiedzi, a wieś?

A kiedy wracał do domu, słyszał, jak krąży wśród ludu ksiądz Stojalowski i organizuje pierwszą partię chłopską pod hasłem „z szlachtą polską polski lud”.

A kiedy sam w galicyjskim sejmie stanął, usłyszał, jak jasnie pan koleś jego, chłopu, Jakubowi Bojce, powiedział na sesji głośno i publicznie „bydlę!”.

I wstał wtedy Wincenty Witos, chłop rośli i zyłasty, prosto od pluga przybyły, wstał nie w sukmanę odziany, jak to w pańskich korowodach i procesjach na ulicach Krakowa był zwyczaj, ale w podmiejski napół sundul i w słynnej potem koszuli zapiętej bez kołnierzyka spinką na grdyce. Wstał wtedy nie polityk, nie gracz partyjny, ale **obronca godności ludu**. I w tym geście musimy go zapamiętać.

*) Artykuł pt. „Z Wincentym Witosem” ujmuje postać tego Wielkiego Bohatera Chłopskiego z punktu widzenia historycznego, rzutowanego wstecz. W dwóch rolach Wincentego Witosy „wodza chłopów” i „przywódcy Stronnictwa” podkreślone zostało to, co było historyczne i dziś już należy do przeszłości niepowrotnej.

Zdajemy sobie sprawę, że z wielu innych jeszcze stanowisk można mówić o Witoście, a przede wszystkim o tragedii więzienia brzeskiego, które przerwało Wincentemu Witosowi działalność polityczną, nie dając mu uzgodnić roli „przywódcy Stronnictwa” z rolą „wodza wszystkich chłopów”. Artykuły następne wniosą ujęcie uzupełniające. Redakcja.

Przed politykiem ludowym pierwszy wystąpił na widownię publiczną **trybun chłopski**. I takim go pół wieku historii polskiej znało i takim kochała wieś i szanował kraj.

Dlatego pierwsze jego odezwanie brzmiało:

„Oświadczam, że kiedy nareszcie znaleźliśmy się tu i my, to czy chcecie czy nie, pogodzić się musicie z tym faktem, że jesteśmy i że do roli podrzędnej zepchnąć się nie damy, praw należących się ludowi domagać się będziemy aż do skutku...”

„Powinni panowie zrozumieć, że lud, jeżeli już raz głowę podniósł to będzie ją trzymał wysoko, nie na to, żeby pokazać pychę, ale by okazać, iż jest człowiekiem z taką samą duszą, mającym te same prawa i obowiązki, człowiekiem równorzędnym!”.

Tak mówi nie polityk. Tak mówi filozof, poeta i kandydziej. I trzeba nam dziś mieć zrozumienie atmosferę epoki, co minęła bezpowrotnie. Ten wódz chłopski całego półwiecza aż do ostatnich naszych dni — wychował się w żywym **teatrze narodowym**, który grał Wyspiańskiemu „Wyzwolenie” i „Wesele”. Widział w latach młodości tak wyraźnie, jak nikt z nas później — **pańskie i chłopskie**.

To arystokracja reżyserowała życie narodu razem z chłopami, lajkonikiem i szopką Boże • narodzeniową. I Witos też pośredku tej sztuki stał, urzeczony, a kiedy zdobył się chocholi taniec przerwać, z drugiej gotowej zaczerpnął — sztuki, szlachetniejszej niepomierne i ludzkiej bardzo. Wziął to, co w tej epoce było tamtemu przeciwstawne. Od Marii Konopnickiej „zaszumiał las, zaszumiał las od placu mojej pieśni”, po Kasprzowski „Czy przyjdzie czas co lzy te spłoszy?”.

Ten ton psychologiczny — uczucia i honoru c z ł o w i e k a — raczej, niż socjologiczny — interesu i takty-

Po zgonie Wincentego Witosy

Depesze Kondolencyjne Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich i Redakcji „Wies”.

DO PREZYDIUM KRAJOWEJ RADY NARODOWEJ,
Warszawa-Belweder

Z powodu śmierci Wincentego Witosy, pierwszego wiceprezydenta Krajowej Rady Narodowej, Wielkiego Polaka i patrioty, godność warstwy chłopskiej najwyżej reprezentującego, przesyłamy wyrazy głębokiego współczucia i żalu.

Oddział Wiejski Zw. Zaw. Lit. Polskich
Redakcja „Wies”

DO N. K. W. P. S. L. WARSZAWA

Przesyłamy wyrazy głębokiego żalu z powodu śmierci Wincentego Witosy, Wielkiego Polaka i patrioty, największego wyraziciela godności ludu wiejskiego na przestrzeni pół wieku dziejów ostatnich, długoletniego Prezesa P.S.L.

Oddział Wiejski Zw. Zaw. Lit. Polskich
Redakcja „Wies”

DO CÓRKI WINCENTEGO WITOSY
OB. MIZIOWEJ WIERZCHOSŁAWICE

Przesyłamy wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci Ojca Pani, Wielkiego Polaka, Pisarza i Nestora ruchu chłopskiego w Polsce.

Oddział Wiejski Zw. Zaw. Lit. Polskich
Redakcja „Wies”

ki w a r s t w y chłopskiej — **góruje w Witoście wódz chłopskim** i w manifestacjach chłopów do czasów drugiej wojny.

Już było po pańszczyźnię i serwitutach, ale Witos tak, jak jego kolega Bojko, walczyć musiał z „**duszą pańszczyźnianą**” u chłopów i z jej obrazem, wzgardę podtrzymującym nadal u panów krajem rządzących.

Temu bojującemu nie mógł być wcześniej położony kres, aż póki nie padła klasa ziemiańska. Dlatego aż równe pół stulecia publicznego życiorysu Witosy należy do epoki, która tam się i wtedy dla niego zaczęła. Jeszcze w 1931 r. hańbiony więzień brzeski, jeszcze w 38 r. wygnaniec bez prawa powrotu do kraju, reprezentował Witos niezakończony etap **wczorajszej** w gruncie rzeczy **epoki dziejów wsi polskiej**.

* * *

Ale i wódz duchowy ludowych mas, aby znaczyć i skutecznie działać musi stać się politykiem, kierownikiem ruchu, **leaderem partii**.

Po dwakroć wszak — kiedy Witos odwołał się do ludu wiejskiego, jako jego duchowy przewodnik, po dwakroć został zawiedziony.

Pierwszy raz było to w 20 roku w wojnie z bolszewikami. Na wezwanie Witosy lud nie drgnął w swoich masach na kształt łanu, jak tego oczekiwać należało i bez łgarstwa trzeba powiedzieć, że wojnę rozstrzygnęło gotowe, regularne wojsko, a w bohaterstwie epizodach samorządowego poświęcenia zapisała się garść inteligentów, młodzieży szkolnej i paru księży’).

Drugi raz, kiedy Witos hańbiony był w Brześciu, on — **symbol godności chłopskiej** — nie doczekał drgnięcia ludu, co by poszło burzą wszędy i wzdłuż Polski’).

W tej roli — jak się okazuje — Witos na tle nowoczesnej historii świata, która wymaga **zorganizowanych, zbiorowych działań** — reprezentuje dziewiętnastowieczny styl **czującego i cierpiącego za miliony orędownika**, z którym każda jednostka **pojedynczo** związana jest analogiczną duchową sytuacją i — choć ją zrodziła wspólna sytuacja społeczna — do społecznego, masowego gestu jeszcze nie prowadzi.

Dlatego dziś w dniach żałoby z niejakim wstydem pomyśleć nam należy o tym nie wyrównanym stosunku. **Obronca godności każdego chłopu, nie został przez chłopów obroniony!**

* * *

Przed ruchem ludowym w latach poprzedzających wojnę światową i następnych, rzeczywistość **narodowa** stała się jako rzeczywistość **szlachecka**, bowiem była to **epoka renesansu szlacheckiego**. W literaturze i sztuce najpopularniejszym stało się stylizatorstwo odnawiające nawet najstarsze estetyczne normy i motywy feudalno - szlacheckie. W nauce, w szczególności humanistycznej (historia) dominował szlachecki punkt widzenia. W życiu gospodarczym **ziemiaństwo** czyniło nowe, **większe** wkłady kapitałowe w przemysł, łącząc postęp w produkcji towarowej z **umocnieniem ekonomicznym** swego politycznego dotychczas władztwa.

Przed ruchem ludowym stał tedy — teoretycznie — problem: **wejść w naród szlachecki czy nie wejść?** Praktycznie bowiem stał on tylko przed bogatym włościanstwem”.

Tragedią naszą było, że nawet w robotniczym ruchu socjalistycznym świadomość narodowa rosła wówczas za sprawą „**szlacheckich malowanek narodowych**” i pod osobistym dowództwem szlachcica... Piłsudskiego.

(Ciąg dalszy na str. 2-ej)

Z Wincentym Witosem

odchodzi cała epoka dziejów wsi polskiej

(Dokończenie ze str. 1-szej)

Tragedią warstwy chłopskiej było, że jej grupa gospodarczo najsilniejsza, — nie widziała interesu w sojuszu z klasą robotniczą.

Tragedią było, że proces asymilacji z pańską kulturą był najmniej dostrzegany i najmniej kontrolowany przez tę właśnie „włościańską” grupę, choć jej wówczas, z tytułu największej dynamiki gospodarczej, historia wyznaczyła rolę awangardy w walce o sprawę całej warstwy chłopskiej.

* * *

Jesteśmy świadkami prawdziwie dramatycznych napięć u Witosy wynikłych ze skrzyżowania się jego działalności jako wodza chłopów³⁾ z działalnością przywódcy stronnictwa chłopskiego.

Oto kiedy pierwszy przemawia w r. 1919.

„Polska upadła jako państwo szlacheckie,
Polska powstaje teraz jako państwo ludowe...”

Drugiemu (politykowi) rzeczywistość odpowiada tak:

Oto słowa wyjęte z programu Narodowej Demokracji:

„Reforma rolna winna się opierać na dobrowolnej parcelacji i dążyć do tworzenia większych gospodarstw włościańskich”.

Stronnictwo Chrześcijańsko - Narodowe, z kluczowym Związkiem Ziemiaków — jako naczelne zadanie w sejmie stawia sobie „zwalczać przede wszystkim reformę rolną”, a domagać się aby Kościół Katolicki był wyznaniem panującym i wywierał wpływ decydujący na wychowanie i wykształcenie młodzieży... aby stan posiadania Kościoła nie doznał uszczuplenia”, natomiast „Stronnictwo jest przeciwne przyspieszonej rozbudowie szkolnictwa”.

Czy więc Polska upadła jako państwo szlacheckie?

I czy Polska powstała jako państwo ludowe?

Dlatego Witos polityk, przywódca „Piasta” prawie w tym samym czasie decyduje:

„Bez porozumienia się z Narodową Demokracją nie może być trwałego rządu, zwłaszcza, że duchowieństwo będzie się do niego wrogo odnosić”.

Umiejmy dziś widzieć nawet w posunięciach przywódcy partii ograniczenia, jakie mu dyktują realne siły społeczne, którymi on rzeczywiście dysponuje.

* * *

Co mógł uczynić inny Witos, jeśli grupa chłopska gospodarczo najmocniejsza a w tym okresie jedynie realna politycznie siła — była w takiej sytuacji:

po pierwsze: kaptowano ją ze strony ziemiaństwa, aby odizolować i przeciwstawić reszcie wsi, a w ten sposób sparaliżować i te siły, które wtedy jeszcze drzemiące jutro mogły spotężnić i stać się groźne.

po drugie: interesy tej klasy rzeczywiście schodziły się z interesami zagrożonego ziemiaństwa. Szło o to, czy reforma rolna zupełna, czy częściowa? W pierwszym wypadku musiałaby pójść drogą rewolucji, a ziemia przeszłaby wtedy w ręce mas biedniackich, najbardziej jej potrzebujących. W drugim wypadku — szczególnie przy reformie dobrowolnej i z wykupu — zostałyby zaspokojone ambicje społeczne i gospodarcze w pierwszym rzędzie i prawie wyłącznie „włościaństwa” wielomorgowego.

Ta klasa chłopska chciała przeto porozumienia z ziemiaństwem i prawicą. I na to porozumienie Witos, przywódca „Piasta” poszedł w 23 roku. —

* * *

Majowy zamach stanu Piłsudskiego w 26 roku przetrząsnął ziemiaństwo. Z legionową szlachetnością — z którą Witos był od początku w wojnie — połączyło się obecnie wielkie ziemiaństwo. Z „szarą pyszką” Piłsudskiego cień książęcego Nieświeża.

I wtedy Witosowi przypomniano orędownika chłopskiej godności. Zamknęła go Bereza a partia o Prezesa zapomniawszy, poświęciła go, zamiast rzucić wszystko dla niego — dla symbolu warstwy chłopskiej! Nie drgnął dostatecznie lud, może pamiętający mu właśnie politykę „Piasta”.

A wracał już wtedy Witos do swojej pierwszej roli, do swojego posłannictwa historycznego, najboleśniej najbardziej gorzko ofiarowując siebie za chłopów całej Polski w obliczu potężniejszego bezprawia stanowego i pańskich katów.

I takim — wodzem chłopów — pozostał już w naszych oczach na wygnaniu, pod okupacją i w dniach ostatnich, wolnej, jego trzeciej — Polski.

JAN ALEKSANDER KRÓL.

3) Pigoń Stanisław — „W. Witos jako działacz i polityk” „Wieś i Państwo” 1935. Nr 8: „Tajemnica uroku Witosy leży bodajże w tym, co by nazwać można reprezentatywnością... Siłą jego jako przywódcy ludu stanowi to, że jest on wspaniałym typem chłopu polskiego podniesionym do najwyższej potęgi”.



Naczelnik Państwa Józef Piłsudski

w powozie z ówczesnym premierem W. Witosem w czasie wyjazdu do Paryża

(Takim drukiem i w takim układzie podpisane zostało to zdjęcie zamieszczone w książce „Marszałek Piłsudski a Sejm”, wydanej w r. 1936. — Przyp. Red.).

Stefan Lichajski

MONOPOLIŚCI POSTĘPU

Ze wszystkich pism literackich najwięcej uwagi poświęca nam „Kuźnica”. Pod względem ilości zwróconych przeciw nam w tym piśmie napaści stoimy zaraz na drugim miejscu po „Tygodniku Powszechnym”. Warto przy tej okazji podkreślić fakt, że publicyści „Kuźnicy” nie umieją polemizować inaczej, niż przy pomocy kuksańców i kopniaków.

Ostatnio w nr. 10 „Kuźnicy” przedmiotem złośliwego ataku stał się artykuł J. J. Króla „O poezji chłopskiej”. Autor notatki pt. „Król i szlachci”, podpisujący się skromnie literkami „mj”, „załatwia” przy tej okazji poecie Ożoga zestawiając cytaty z jego wiersza z cytatem z Kochanowskiego. Cała ta notatka świadczy po prostu o tym, że ob. „mj” ma dużo wolnego czasu i bawi się. Bo można by wybrać cytaty z Ożoga i Kochanowskiego tak, by porównanie wypadło na korzyść Ożoga. Można by podobną metodą „udowodnić”, że Ożóg czy ob. „mj” są lepszymi poetami niż nawet Słowacki, Mickiewicz, Norwid. Kto ma czas i ochotę, może się w ten sposób bawić długo.

Faktem jest natomiast, że Król w swoim artykule nie poruszał wcale sprawy literackiej wartości utworów omawianych poetów, a ograniczył się do badania społecznej postawy tych pisarzy. Atak ob. „mj” trafił więc w próżnię.

Ze to jednak nie po raz pierwszy „Kuźnica” kreci nosem na utwory literackie drukowane we „Wsi”, warto się tą sprawą ockolwiek zająć. Pisał już kiedyś A. Ważyk w teście „Kuźnicy”, że poezja Kubisza i Nędzy-Kubińca np. jest młodo - polska, kulaćka, po uszy tkwiąca w prymitywnie rozumianym regionalizmie i t.p. Tyczyło się to poematu Kubisza „Taniec zbójnicki”, utworu pisanego w 1940 r., najczarniejszym roku okupacji, utworu tchnącego mocną wiarą w zwycięstwo i lepszą przyszłość oraz poematu Kubisza „Rebelia góról” w Mostach, opisującego chłopskie powstanie na Śląsku Cieszyńskim w 1848 r. Jakąż więc literaturę uważa „Kuźnica” za dobrą i zgodną z duchem czasu?

Oto parę próbek:

„WRZESIEŃ 1944”

Na marginesie wielkich wojen
tam komentarzem moich dziejów,
wierszem, o wczesnej — znów — jesieni
wzruszona gorzko pamięć poje.
Ciało niechętnie moim troskom
leniwie plawi się w rozkoszy
miłkiego szepotu. Jesień polska
bledziutkim ciepłem rzeszy złoci.
Lecz tak naprawdę — nic mnie nie bawi,
nawet ja sama — nawet wrzesień.

Wrzesień 1944 r. Płonie Warszawa. Rozpoczął się straszliwy tułaczka setek tysięcy wygnañców. Szaleje terror SS a młoda poetka pisze sobie sentymentalne wierszyki o „złotej jesieni” — i co najlepsze — redakcja „postępowego”, „rewolucyjnego” pisma wierszyki te zamieszcza jakby nie widziała w tym nic niewłaściwego. Sam fakt dania wierszowi tytułu „Wrzesień 1944” wygląda albo na niedbalstwo redakcyjne, albo na cynizm, albo wręcz na ową tak przez „Kuźnicę” zwalczaną „bezdziejowość”. Poetka jest może w tym wypadku w porządku, ale redakcja — nie. Zwłaszcza gdy prowadzi się jednocześnie kampanię przeciw t. zw. estetyzmowi.

O ile jednak tych wierszy można by jeszcze bronić przy pomocy zwalczanych przez „Kuźnicę” kryteriów czysto estetycznych, to jednak gorzej przedstawia się sprawa z drukowaną w nr. 3 nowelą „Śmierć poetki”, z której cytujemy parę smakowitych wyjątków, godnych by zdobyć łamy jakiegos przedwojennego „Bociana” czy „Wolnych żartów”:

„Przez zapach grzybków przebił się jej swoisty zapach dziewczyny, która wierszem bez wstydu opowiada noc miłosną, zapach rozkwitłych, jeszcze nie otrzęsionych bazi wielkanocnych. Tak, Felix pachnie jak kwiatowa sperma, potwierdził sobie Janusz...”

„Jej kolana są okrągłe, drobne i wolno mu ich dotknąć. Uwielbia jej kolana, całuje je namiętnie, pragnąc zgłębić i mieć na własność sekrety którym wypowiada się jej skóra woniejąca zapachem czegoś bardzo pięknego, może mandarynki, może...”

„Jęczy: — Kto wie, co jeszcze z nami będzie! — oddychając szybko zsuwa z ramion koszulę, otwiera usta, zęby, ciepły, śliski język chowa we wnętrzu ust kochanki, silnie obejmując go za szyję i z przymkniętymi szczególnymi oczyma rzuca się w ciemny zwój odczuć, z których nie ma innego wyjścia niż miłość, wspólny sen na poduszce, na której ślady łez zaschły w male, płaskie perelki, nieistotne, jak wszystko to, co w tej chwili nie jest febrycznym zwarcie, przeniknięciem, zmieszaniem śliny i białych soków gorzkich i gęstych...”

Chłopski temperament Kubińca — to kulaćstwo, to młodopolszczyzna, to „reakcja” itd. Ale erotyczny temperament panny Felix i jej kochanka — to postęp, to zdrowie moralne, to coś istotnie ważnego dla bezklasowej kultury ogólnonarodowej. Możliwe, że któryś z redaktorów arcypostępowej „Kuźnicy” puściwszy w ruch nieomylony aparat dialektyki materialistycznej udowodni, że sentymentalne liryzowanie miłosne lub pornografia w stylu Staśki — to coś daleko bardziej postępowego niż wiersze o chłopskiej woli przetrwania i zwycięstwa, lub poemat o chłopskiej walce o wolność.

Nie zdziwiliby nas wcale takie postawienie sprawy, bo w ogóle cuda dzieją się w tej „Kuźnicy”, niebylejakie. Od ósmego już numeru broni „Kuźnica” dotychczasowego dorobku kultury i sztuki polskiej, broni „rzecz czarnolesskiej” przed ofensywą barbarzyńców ze „Wsi”.

Ale... takie jedno, jedyne „ale”: w artykule „Poza rzeczywistością historyczną” podpisanym nie literkami „mj” a pełnym imieniem i nazwiskiem: Mieczysław Jastrun, drukowanym w nr. 1 „Kuźnicy” z czerwca br., stało napisane:

„Polożenie geograficzne - historyczne naszego kraju sprawiło, że, jak nigdzie, bezkrytyczny solidaryzm społeczny stał się religią inteligencji polskiej, przeniknął nawet do radykalnych partii politycznych”.

„To niezdecydowanie, ta połowiczność...” będzie cechą narodową tak długo, dopóki nie ulegnie zasadniczej przebudowie podstawa materialna, z której wyrasta kultura narodowa, dopóki konsumpcyjno - przetwórcza warstwa ziemiańska nie zostanie zastąpiona przez wartwą wytwórczą a kultura narodowa nie opierze się na szerokiej podstawie chłopsko - robotniczej.

O, czarnolesskiej rzeczy” marzvi pisarze nawet mieszczańskiego pochodzenia i ten charakter marzeń o utraconym raju przetrwał do dnia dzisiejszego”.

W czerwcu „rzecz czarnolesska” pachniała „reakcją”, w październiku stała się pałką do bicia po głowie chłopskiej ideologii kulturalnej. A może to proces przemian historycznych już tak się daleko przez te parę miesięcy posunął, że w toku tych przeobrażeń zmieniła się ideologia kuźnicowych speców od postępowości?

A teraz postawmy sprawę jak najprościej: skąd ta święta zapalczywość skąd ten inkwizytorski ton właśnie w stosunku do postępowego pisma chłopskiego? Kawał polega na tym, że „Kuźnica” o postępie gada, a my ten postęp w miarę naszych szczupłych sił i możliwości realizujemy.

„Tu — jak mawiają rodacy Goethego i Marksa — leży pogrzeban w pies”.

Jan Krokwa

PRAWDA O ŚLĄSKU (Część I)

Piotr Bezrucz — symbol poetyckiego fałszerstwa

Od kilku miesięcy jesteśmy niemyi świadkami naporu i ataku bratniego narodu czeskiego przeciwko odwiecznie polskim ziemiom, jak Śląsk Zaolziański, obszar Głupczyckiego, Raciborskiego, Kładzkiego...

W tym roku, dnia 17 września, ukończył swój 78 rok życia, czeski szowinistyczny poeta Piotr Bezrucz. Wyzyskując tę okazję dla antypolskich celów propagandystycznych, rząd czeski jednogłośnie powziął uchwałę, na mocy której Bezruczowi udzielono tytułu: narodowego poety. Prócz tytułu, przyznano temuż poecie nagrodę literacką w kwocie 100.000 koron. Czeskosłowacki premier Fierlinger odbywa swą demonstracyjną podróż do Bezrucza...

Dnia 17 lipca br. zmarł w Pradze największy poeta czeski Józef Hora, dopiero po śmierci autora „Soruny w wichrze”, przyznano mu zaszczytny tytuł poety narodowego... drugim poetą parodowym zrobiono Bezrucza. Porównując twórczość Józefa Hory z twórczością Piotra Bezrucza, musimy dojść do jednego poznania: nadanie tytułu poety narodowego Piotrowi Bezruczowi było podyktowane przez obecną koniunkturę politycznej ekspansji czeskiej, przeciwko ziemiom śląskim i chęcią wydarcia tych ziem — Polsce.

Nad Śląskiem Cieszyńskim i Frydeckim, Opawskim i Huczyńskim, czy ludowo powiedziawszy Huczyńskim, trwa ciągle chmura jakby wiecznego letargu narodowego. Narastała ta chmura w sędzonym tempie nie tylko, kiedy Austria i przedhitlerowskie Niemcy były chwilowym panem tych ziem, ale działa się to także przez pełne dwadzieścia lat pierwszej republiki czesko-słowackiej. Z dawnych chwil pozostał tutaj pewien osad cudzej kultury, zamulony później eksterminacyjną polityką centralizmu czeskiego, co w sumie zmieniło właściwe i indywidualne oblicze polskiej ludności tych terenów. W chwili obecnej prawda o tych obszarach ziemi śląskiej, zahukana błagą i czeską propagandą polityczną czeka na swego obrońcę. W dzisiejszym szkicu literackim nie chodzi nam jednakże o całokształt i wyczerpanie tematu, lecz o poprawkę jednej pozycji w kwestii śląskiej. Tą pozycją jest poeta czeski Włodzimierz Waszek, znany jako autor „Ślęzkich piseni” *) („Śląskie pieśni”), które wydał pod pseudonimem Petra Bezrucza. Zastanówmy się więc dzisiaj czy Piotr Bezrucz miał moralne prawo upominać się dla swych czeskich ziomków o kraj duchowo obcy kulturze i mentalności czeskiej?

NARODZINY PIERWSZEJ LEGENDY

Było to dnia 8 marca 1899 roku, kiedy wyszedł jeden z późniejszych tygodników czeskich realistów w Pradze p. t. „Czas”. Pismo to było rzecznikiem politycznej ideologii Tomasza Masaryka. W literackim dodatku „Czasu” z tegoż dnia, pojawiło się osiem utworów, nieznanego podówczas Petra Bezrucza. Ponieważ wtenczas Śląsk dla Czechów był ziemią „nieznaną”, tych osiem wierszy Bezrucza, tak jak i poprzednia publikacja, która uległa austriackiej konfiskacie w tym samym piśmie — stało się w kołach realistów czeskich sensacją dnia; było jakby obudzeniem i wywołaniem czeskiej ekspansji na polskie tereny śląskie. Zaś w numerze „Czasu” z dnia 3 czerwca 1899 roku zamieszczono dalszych dziewięć utworów, wśród których znalazł się także jeden z najbardziej zatrutych fałszem i jadem wiersz p. t. „70.000”, gdzie 32-letni Bezrucz pisał:

„Siedemdziesiąt tysięcy jest nas
przed Cieszynem, przed Cieszynem,
Sto tysięcy nas poniemczyli,
Sto tysięcy nas popolszczyli!”

Wymagowanych 70.000 Czechów „przed Cieszynem”, ugruntowało pozycję Bezrucza w literaturze czeskiej i podniosło ją (wprawdzie po czasie) do godności śląskiego barda. W swych wspomnieniach, redaktor „Czasu”, literat Jan Herben zwierza się, iż po wydrukowaniu wierszy Bezrucza w swym piśmie z dnia 3 czerwca 1899, żona prezydenta Masaryka — Charlotta Masarykowa powitała go słowami: „tak, mamy nowego poetę!”

Oficjalna krytyka czeska jednakże przemilczała Bezrucza — wskazuje to i potwierdza, iż literaci czescy nie sympatyzowali z politycznymi wskazaniami autora „Ślęzkich piseni” i klasyfikowali je jako niepotrzebny wybrzyk, uwłaszczający godno-

ści piśmiennictwa czeskiego. Później jednak w pierwszej republice czeskosłowackiej, po zbrojnym i zdradzieckim ataku wojsk czeskich na Śląsk Cieszyński — otoczono Bezrucza nimbem państwowej ważności, stawiając go na najwyższym piedestale poezji czeskiej. Żaden naród słowiański nigdy za jedną książkę politycznych wierszy nie ocenił tak wysoko swego poety i nie czcił go w tak przykry i niesmaczny nieraz sposób.

GŁOSNY FAŁSZ I CICHĄ PRAWDĄ

Zachodzi pytanie, jak lud polski na Śląsku przyjął czeską poezję Bezrucza, jak zareagował — jak dalece stał się dla tego ludu anonimowy Bezrucz duchowym przywódcą? Jedną jest odpowiedź na to pytanie! W ludzie śląskim nie wzbudził Bezrucz swą poezją najmniejszego drgnienia — poezja ta stała się sprawą obojętną i cudzą dla Cieszyna, Frydku, Opawy i Huczyzna. Czeskich gazet i czeskich książek na terenach śląskich w ogóle nie czytano. Bezrucz nie opublikował swych utworów w prasie wychodzącej na Śląsku, gdyż prawdopodobnie przeczuwał, iż wysłano by go tutaj i zlekceważono za jego niedorzeczną próbę poetyckiej aneksji ziem śląskich. Dlatego też wołał on udać się do Pragi, aby tam w piśmie czeskim opublikować swe utwory. Stwierdzono na przykład, że na Frydeckim był tylko podówczas jeden odbiorca praskiego „Czasu”, kiedy Bezrucz ogłaszał w tym piśmie swoje wiersze. Był tym odbiorcą „Czasu”... Czech, który został mianowany tam przez władze austriackie jako urzędnik administracyjny, Czech urodzony poza terenem ziem śląskich. I sam Bezrucz przecie przez pewien czas spełniał rolę wysłanego na Śląsk — Czecha, kiedy był asystentem urzędu pocztowego w Mistku. Fakt to zresztą ogólnie znany, że urzędy austriackie często wysyłały Czechów jako urzędników na Śląsk. Prócz Bezrucza bawił także na Śląsku inny literat czeski Franciszek Slama — lecz to jeszcze nigdy nie może uprawniać Czechów do twierdzenia, że Śląsk Cieszyński jest starym czeskim krajem!

Dosadną charakterystyką obojętności Śląska względem poezji Bezrucza jest opinia innego Czecha — K. Fiali, który w swych wspomnieniach „Za Bezruczem” (Poledni denik nr. 21 z dnia 13-go września 1937 — Mor. Ostrawa) opisuje przybycie na Śląsk młodego nauczyciela czeskiego z okolic Berouna do Mor. Ostrawy w zaraniu powstania pierwszej republiki czesko-słowackiej. Oto, jakie były wrażenia nauczyciela z Czech, który tak namiętnie w swych Czechach zachwycał się Bezruczem:

„...Czytał wiersze Bezrucza dzieciom w szkole, był zaskoczony, bo stwierdził, że dzieci nie znają żadnego utworu Bezrucza. Dzieci się śmiały, kiedy im taki wiersz wygłaszał i wstydzili się, kiedy miały czytać te wiersze...”

• Od siebie możemy tutaj dodać: polskie dzieci wynaradawiane w czeskiej szkole musiały się wstydzili czytać zatrute jadem utwory czeskiego poety! Ale zacytujmy jeszcze i kilka innych zdań ze wspomnień K. Fiali:

„Ale ani starsze społeczeństwo nie znało Bezrucza. W miejscowej bibliotece nie posiadano „Ślęzkich piseni”. To było nowe rozczarowanie. Kiedy młody czeski nauczyciel szedł tutaj (do Mor. Ostrawy — przyp. mój!) myślał, że cały kraj będzie dźwięczał balladami i pieśniami Bezrucza. Jak inaczej znano Bezrucza w Czechach i na Morawie. Tam czytali go ludzie i odmawiali jego utwory nabożnie jak ewangelie... Tylko tutaj na Śląsku ostrawskim, Bezrucza mało znano i w ogóle go nie rozumiano”

Dlaczego na Śląsku ostrawskim Bezrucza nie znano i nie rozumiano, autor wspomnianego felietonu nie daje nam odpowiedzi. Chcemy dlatego jego wypowiedzi uzupełnić. Przede wszystkim poezja Bezrucza była tworzona w języku czeskim z bardzo rzadką domieszką słów, wyrwanych z polskiej gwary śląskiej. Bezrucz, przebywając przez pewien czas w Dąbrowie na Zaolziu, później zaś jako urzędnik pocztowy w Mistku przy Frydku, coś z tej gwary podchwycił i wykorzystał w mniej lub więcej dokładnej formie w swych wierszach, zmuszając rodaków swych w Czechach do zachwycania się dynamizmem i surowością swego stylu. Nie chcę pomniejszać poezji Bezrucza, lecz niestety muszę stwierdzić, że dynamizm ten i surowość stylu jest u Bezrucza rzeczą bardzo względną, bo nie istotną, lecz zapożyczoną jedynie dla okraszy z staropolskiej mowy śląskiej. Do oryginalu gwary śląskiej takiego czy innego odcienia było Bezruczowi bardzo daleko — takich więc

poezji lud śląski nie mógł czytać, gdyż ich prawie nie rozumiał. Godzę się natomiast na inną bolesną prawdę słowiańską wspomnianego K. Fiali, który w swym felietonie szczerze wyznaje:

„Dzisiaj dzieci szkolne znają lepiej Bezrucza, niż wtenczas po przewrocie. Dzisiaj już Śląsk ostrawski jest naprawdę Bezruczowym krajem”. Tragiczne „naprawdę”, bo i prawda o Bezruczu jest tragiczną i oskarżającą; wynarodowione polskie dzieci, nauczono deklamować Bezrucza, tam na Śląsku ostrawskim... tam, gdzie była Polska Ostrawa i aby ta Polska Ostrawa nie straszyla spokojnego snu czeskich szowinistów, kazano z mocy urzędowej... wykreślić nazwanie Polska!

CIEMNA KARTA POETYCKIEGO BOJU

Twórczość literacką Piotra Bezrucza, trzeba sklasyfikować jako twórczość bojową. Lecz i w tym kierunku okazał się Petr Bezrucz szermierzem, który nie wystąpił przed światem otwarcie, jakby przystało na bezkompromisowego szermierza tej czy innej idei. Włodzimierz Waszek posługiwał się pseudonimem — wolno to czynić każdemu literatowi, każdemu poecie — mógł to uczynić i Piotr Bezrucz. Jednakże pseudonimowość i anonimowość Bezrucza, posiada wszelkie cechy nie-narazania się stronie przeciwnej... może był to strach i obawa przed utratą ciepłego i wygodnego miejsca urzędnika c. k. poczty austriackiej. Bezrucz przez długi czas nie zdradził, kim jest, tań to skwapliwie, nie przyznał się do autorstwa swych wierszy nikomu z najbliższego otoczenia, nie uczynił tego nawet wobec redakcji „Czasu”, z którym korespondencję załatwiał w wielce dziwny sposób, aby tylko nie ujawnić, że Włodzimierz Waszek to Piotr Bezrucz. Odnosnie tych spraw istnieje wcale bogata literatura, która rzuca na autora „Ślęzkich piseni” bardzo ciekawe światło, upoważniając do wysnuwania wielu niepochlebnych wniosków i dociekań. Nie wiemy oficjalnie dotąd, co broniło Bezruczowi wyjawienia swego właściwego nazwiska, lecz wydaje się być pewnym, że byli tu tylko dwie alternatywy:

Wspomniana poprzednio obawa przed władzami dawnej Austrii oraz pełna świadomość własnej winy, popełnionej przez fałszerstwo polityczne, przemycone do „Ślęzkich piseni”, przez wyrządzenie krzywdy literackiej i politycznej ludowi śląskiemu, który jak konar wyrósł z pnia polskiego. Zaś Bezrucz, fałszerz politycznych prawd przedstawił lud śląski jako czeską gałąź rodową. Częściowe przyznanie, jakby próbę rehabilitacji i pierwszy wyrzut sumienia w tym dramacie poetyckiego mistyfikatora odnajdujemy w późniejszej prozaicznej twórczości Włodzimierza Waszka — w skromnej broszurze, wydanej w roku 1923 w Bernie p. t. „Moravska zem a moravska rzecz — Republika przed svatym Petrem” („Morawska ziemia i morawska mowa — Republika przed świętym Piotrem”). Broszura ta jednak nie wyszła już jako książeczka Piotra Bezrucza, lecz znowu pod innym pseudonimem, pseudonim ten brzmiał: Kuba Stoperontik.

CZYJA TO KREW — JAKI TO LUD?

Dziwnym zbiegiem okoliczności, Petr Bezrucz urodził się w Opawie (17 września 1867 roku) jako syn czeskiego działacza, profesora Antoniego Waszka. Jednakże matka Piotra, Bezrucza, urodzona w Tyńcu nad Łabą jako Maria Brożkowa, pochodziła z niemieckiej rodziny Harerów. Pewne ślady potwierdzają także, iż ojciec, Bezrucza — Antoni Waszek, mimo iż był znanym działaczem czeskim na Opawskim, nie pochodził również z rodziny nawskroś czeskiej, lecz z rodziny niemieckiej, później czzechizowanej i czzechizującej. Wprawdzie pochodzenie nie może decydować o moralnym prawie Petra Bezrucza w jego poetycko-propagandowych wypowiedziach w sprawach śląskich, lecz pozostaje poważnym czynnikiem w demaskowaniu pewnych, wyłącznie politycznych zachłanności, wypowiedzianych w formie „niewzruszonych prawd”. Zaś ta „prawda” polityczna, którą wypowiedział Bezrucz w „Ślęzkich pieśniach” należy do praw zwietrzałych w obliczu właściwej prawdy, że lud na znacznym obszarze Huczyńskiego i Opawskiego — nie wspominając już o bezspornym w tym względzie Zaolziu — nie jest pochodzenia czeskiego, lecz jest to tak samo lud polski, posługujący się do dziś dnia gwarą staropolską! Lud dawno zapomniany przez swą ojczyznę... Polskę!

Dokończenie nastąpi

*) Cytaty w języku czeskim bez odpowiednich akcentów ze względu na brak znaków w komplecie czcionek (przyp. Red.).

Stanisław Piętaś

W I E R S Z E



rys. St. Cieloch

STANISŁAW PIĘTAŚ, urodził się 3.8.1909 r. w Wielosławiu pod Sandomierzem. Drukuje od roku 1930 naprzemiennie to prozę to wiersze. Obecnie próbuje pisać i dla teatru.

Jest autorem kilku książek wydanych przed wojną. Rozgłos zdobyła mu powieść „Młodość Jasła Kunetala”, którą Polska Akademia Literatury odznaczyła Nagrodą Młodych w r. 1938.

Wiersze poniższe, nie drukowane, wyjęte są z książki poetyckiej złożonej w wydawnictwie „Czytelnik” p. t. „Utwory wybrane”.

Niebo

— Jak jest na tamtym świecie, mój drogi?
Ach, o tym to nikt nie wie na pewno.
Kordias jechał przez polne rozłogi
i w gwiazdy wznosił cicho twarz rzewną.
— No, a gdyby tam życia nie było —
gdyby śmierć świat kończyła na ziemi?
westchnął nagle. — Mnie by to dziwiło —
gdzie przepadłby duch z myślami swymi.

Jechał, a gwiazdy już spadały
i burza czernią kryła wieś małą.
Kopyta końskie tylko klaskały
w błyskach i wiatrem dalekim wiało.

— Straszne. Ja w to nigdy nie uwierzę —
szepnął nagle młodziutki Jaś glucho.
O jakim lęk okrutny mię bierze.
Poco więc nas nawiedzono duszą?...

Mówiłby jeszcze, u wsi lecz brzegu
ogień pioruna wbił lej do wody.
Ślad czerwonych płatków w rozbiegu,
kwiląc, spadało w mroczne ogrody.
I teraz — o, była chwila taka,
że kościół czystą linią odbity
trwał na skrzydłach płynącego ptaka.
i w głębi wód wity się wierzb kity.

Ach! Kordias zdołał zatrzymać konie,
ale Jaś padł na wznak oniemiały.
Zdziwieniem wzbierały im oczu tonie.
To tylko wciąż konie w trwódcę rżały.

Wesele

Bum, bum, bum! — bebnął sobie Wojtek stary,
niosąc dal skocznej muzyki.
W blask wychodziły do ogrodu pary —
echami niosły się krzyki.

Jeż, piszcząc, zaraz ugrzązł w wilgłym piasku,
dziwiąc się kolorom mały.
Krowy nadbiegły od bliskiego lasku
i w łzach u płotu też stały.

Nawet księżyc co rósł mokry, czerwony,
skrył się za śliwy w chmur miechy.
Staruchy, dziewczki, panny, białe żony
śmiały się w słodkim oddechu.

Jedna w tan oto objęła już drzewa,
przed jeżem ukłękła, że miły.
I panna Młoda, choć lekka, jak mewa,
nie w mężu szukała siły...

Bum, bum! — bebnął sobie więc Wojtek stary,
patrząc ku gwiazdom na drogę.
I w jego babie niosły się nocne mary,
trzymał ją przeto za nogę.

Sen chłopca

— Ta tęcza skąd się wzięła złota, siwa? —
myślał malec, dziwiąc się, że świat cały
cztery tęcze na ukos opasały —
śmiała się, pluszcząc, w dole rzeka żywa.

Domów kilka białych stało w oddali.
Igrały oczy szyb z najmłodszą tęczą.
Dzieci skakały za słońca obręczą —
olbrzymi ptak — koń naraż wytrysł z fali.

Rzeka wszakże runęła światłem wyżej.
Zdało się, że niebo błędnie echami.
Dzieci i tęcze kłękły ze łzami
oto bowiem i staczały się niżej.

Już woda miała zalać niebo, ziemię —
zniknął, zdało się, nie stało ratunku.
Wtem kobieta o wielkim nóg rysunku
słopą swoją zepchnęła rzekę w cienie.

Naukos czuć teraz było, szum kroczy.
Kobieta szła — z nią ptak — koń, tęcze, oczy!

Nad rzeką w nocy

Gwiazda pruła bezszelestnie fale.
Na świecie księżyc wschodził nad wierzbami,
co ciche rozszerzały letnie dale,
barwą gołębi stojąc nad wodami.
Od łak, od nieprzemierzanej zieleni
słowiczy śpiew się niósł ostry, jak łkanie.
I tak za cieńmi siwymi, lotnymi
leciało zza rzeki wesołe granie.

W taki to czas za młynem na skraju
biegł jakiś chłopiec i stanął w półmroku.
Zagwizdał tylko, a z pośród traw gaju
śmielech nagły zaraz doleciał doń z boku.
Upłynęło wszakże jakby chwil kilka,
nim śmiejącą się przybiegła do drzewa.
Cień staniał się u włosów jej, jak piłka,
mokry blask lekkie jej ciało owiewał.

Dwie czajki pocałowały się w łocie
i odrunęły w mrok siny daleko.
Śmiejącą się ukłękła wtedy w złoć
światła i ku chłopcu westchnęła lekko.

Nie słychać było dalej głosu w ciszy.
I psy ziemne, co igrając na drodze
wyszły, dziwiły się, że ni dal, nie dyszy,
a chłopiec niesie wciąż swoją niebogę.

Noc letnia

Jestem tutaj wśród kwiatów ukryty jak mysz,
z warkoczem, usypiających trzmieli.
Mówcie głośnie! Cienkie uszy ktoś zmienił
w gniazda rozśpiewanych pszczoł.
Ziemia odpływa ze mną
w ramach błękitnych, szklanych dłoni
ku krowom, co za drogą piją gwiazdami
rozwieszony zmierzch.

O, zostawcie niebo na tym samym miejscu.
Chcę spać z księżycem w włosach tak samo jak
nasz pies.

Pytacie, kto jestem?
Na imię nie wiem, jak mi jest.
Wśród trawy śpię nocą,
żywię się mlekiem i szumiącymi dniami.
Ze mną są niebo, ziemia przecięta białą drogą
i krowy rozwiozane rogami po las.

Lubię patrzeć na naszą Czarną, co zawsze, gdy
mi zimno,
gorącym językiem liże mi bladą twarz.

Przysuńcie mi ją bliżej zaplątanych szmerem
skroni.
Widzicie: w mokrych jej ślepiach światł utonął
smutnie na widnokręgu rozstawionymi szybami,

Zbieg

(fragment poematu)

1.
Na świt się już miało, wierzby w obłokach rosy
szły.
Nad Topolną zorze wstawały jasne, ułotne.
Zaby wskakiwały na brzeg, już milkły.
Skowronki dźwięczały szybko, zrywało się ptactwo
błotne —
zapach obór, znojnego snu włókł się gdzieś od wsi.
Pies biegł od strony kościoła, mył pysk o rosę.
Bocian zdawał się ruszać, lecz wciąż drzemał
skulony na gnieździe.
Siwiała dal coraz bardziej, to wilgi i kosy
tukały się, pokrzykiwały. —
Krzyżyk wąły i srebrny drgał na ostatniej
gwieździe.

2.
— Rózo — powiedział Janek — Rózo, przyjdzie
czas, wezmę cię za żonę.
Jej oczy w tej chwili stały się dziwnie nieuchwytnie
i mgławce.
Zaśmiała się — i tak zostały jej usta uśmiechem
rozchylone.

3.
A tu, oblawa szła górą, dołem.
I cóż? Drzemał wśród bagien i szuwarów.
krzyk ludzki tak nagle otoczył cię żelaznym
kołem.

4.
Każdy dzień odtąd wiódł mnie w dal, jak głos
bolesny płatków.
Mijały dni — bura słońca upadała nad strzechy
brzemionami żyrzebych, poszarpanych światów.
Ciężej było teraz tulać się wśród łak i pustych pól —
na nizinym buraczysku siwe woły czarną pustkę
włokły
na konarach rosohatych łbów.
Pługi zanurzały się wolno w ziemię — ociapani
błotem wolarze
nie szukali dla swych uczuć melodii ni słów.
Było cicho — tylko rdzawo - złote brzozy, zza mgły
wychodziły
i próbowały odejść nad czarnej wody brzeg.
Szedłem dalej, słony wiatr
ostatnie liście zdzierał z brzozy, jak krew.

W NASTĘPNYM NUMERZE

„NOWOSIELECKI POEMAT”

JÓZEFA OZGI-MICHAŁSKIEGO

Jan Wiktor

Rozważania o literaturze

Fragmenty z „Zapomnianych źródeł”^(*)

Z PAŃSKICH PRZEDPOKOI

Literatura polska najchętniej przebywała na pokojach pańskich, nieraz w liberii lokaja, tam czerpała tworzywo, stąd wyprowadzała bohaterów, ożywiała ich, urok tego życia opiewała urzekającymi wyrazami. Nic też dziwnego, że rzucała urok na czytelnika, a ten wczuwał się w duszę utworu, wzywał się w tok opowiadania, marzył o podobnych przygodach, usiłował naśladować widziane postacie aktora filmowego lub bawiącego się dziedzica. Nie znał natomiast bohaterów ze swego stanu i otoczenia. Książka wynaturzała go, obudzała niezdrowe ambicje. Ogół patrzył na życie wsi, melodyjne i śpiewne, na jej mieszkańców, jako na kukielki bezduszne, mające odegrać naznaczoną rolę w tym teatrze. A przecież chłop ma odrębne życie, kształtowane w swoisty sposób w ciągu wieków; ma bogatą kulturę, wytworzoną w mozole pokoleń, w twardym trudzie nieznanych mistrzów, w nieustannej walce z przyrodą i z tak zwanymi dopustami bożymi.

Literatura długo odwracała się od prawdziwej wsi, od chłopów zgnojenego, ubabranego ziemią, kroczącego za plugiem, od jego zmagani i borykań z przeciwnościami — bo proszę pana — niesłychaną rzeczą byłoby, gdyby cham zaczął zasmradzać polską literaturę; tego nie było i dać Boże nie będzie.

DO MYŚLENIA I DO CZYNU

Młode pokolenie chłopskie sięga po dzieła, poruszające zagadnienia poważne, żywotne, związane dążeniami i marzeniami wsi jutrzejszej. Według zdania uświadomionych, książka nie może być tylko zabawką, rozrywką, drażnieniem ciekawości zmysłów, ale musi uczyć, podnosić, rozwijać, uszlachetniać, porywać, pobudzać do myślenia i do czynu. Wieś szuka takich książek. A jest ich tak bardzo mało. W pierwszym rzędzie pisarz polski, jeśli chce spełnić swoją misję, czy swój obowiązek, musi się odrodzić i odmienić.

PISARZE WOBEC ŻYCIA

Nie wyobrażam sobie jutrzejszego pisarza, odgroźonego hasłem: „sztuka dla sztuki” od dążeń i pragnień narodu, pisarza wygodnie rozpartego w fotelu i tworzącego w ciszy gabinetu, wpatzonego w rozkwitające róże, wdychającego wonie swych natchnień. Życie, idące z ogromem swych żądań rozwali, zburzy te ściany, choćby były zbudowane z żelazo-betonu, zmiecie jego wieże z kości słoniowej, z zórz, gwiazd, blasków, błękitek, a wyrzuci pisarza w piekielną czeluść codziennych zagadnień, zmusi go do uczestniczenia w pracach społecznych, aby wziął w siebie wszystko, co ożywia człowieka, aby posiadał nie wyperfumowane, wonne, wypieszczone słowa, ale wołania i pragnienia wszystkich zbuntowanych, skrzywdzonych, budujących nowy porządek świata, aby jego pióro stało się zylastą pięścią, drugotną zło, choćby spaloną w piecach hutniczych, choćby stwardniała od kielni i młota, choćby ubabraną gnojem. Dzieło dzisiejszego pisarza musi nieść krzepkość czynu.

BYLIŚMY ŚWIADKAMI

Musi się stwierdzić, że na przestrzeni tych lat zaczyna się przełomowy okres dziejów Polski. Znaczą go żelazne słupy, wbite w sterty wijących się ciał, żywem zakopywanych. Wróg chciał nam wymierzyć śmiertelny cios w mózg i serce; podłość, gwałt, przemoc wroga zmierzały do wytepienia nas z tej ziemi. Patrzyliśmy na najpotworniejsze czyny, byliśmy świadkami obrazów, odbierających rozum, wyzerających oczy. I czyż można o tem zapomnieć? Czyż można dyment kadzielnianym zasłonić lub płatkami jaśminów, rosnących na cmentarzach? Czy wolno? Dni nasze — to doły buchające krwią mordowanych. Czy ktoś z nas odważyłby się zasypać je ziemią, po to, aby zasadzić na nich szkarłatne róże, cieszące oczy swym urokiem, aby posiać kwiateczki uśmiechające się do przechodzących pokoleń. Wierząc mi, że ta ziemia popękałaby od ciosów wzburzonych serc, wyrzuciłaby ze swych czeluści obrazy przedśmiertnych męczarni zastrzelonych, zamęczonych i zaduszonych. Nie wiem, czy ktoś śmiałby zamilczeć o nich lub ominąć je obojętnie. Łuna,

unosząca się nad obozami, nad krematoriami, ta czerwień spalonych skazanców długo będzie trwać na firmamencie Polski i nie zastygnie, nie spopieleje, bo ona jest żywą krwią wybroszoną z ran najlepszych synów naszych i braci.

ROZTKLIWIANIE NISZCZY SIŁĘ

Nietylko to. Obecna wojna rozkrusza dawny świat kultury i pojęć dotychczasowych, burzy i obraca w nicość wszelkie uświęcone przeżytki społeczne i ustrojowe, uprzęta je pod wielkie dzieło, otwiera szerokie widnokręgi wyzwolonym z dawnych obciążeń myślom i dążeniom. Dzisiejsza poezja, mianująca się „niepodległościową” nie dostrzega tego. W jej strofach spowiadanie się z cierpień, pokutowanie za winy czyjeś, nakładanie na czoło korony cierniowej, zbieranie z konających warg jęków, z gasnących oczu łez, aby je wylać w popioły i mogiły. Wśród huków gromów burzących świat, wśród płaczu zrozpaczonych tłumów, wśród skowytów umęczonych, żywem palonych, kiedy zgorzeliska są stertami ludzkiej krwi i kości — poeta wsluchuje się w romantyczny śpiew sielskiego pastuszka i nastraja swoją zboląłą lutnię na te wzruszające nuty. Ta poezja roztkliwia a wszelkie roztkliwianie niszczy wolę, rozkłada siły, a nie kształtuje człowieka czynu. Tam, gdzie pragnęlibyśmy, aby ręka sięgnęła w głąb pożaru i wydarła głównię, tam tryska łza, tam promień wyblśnie, to iskra wyleci, ale nim dosięgnie duszy — popieleje.

Nie chcemy śledzić przelotów iskier gasnących, nie chcemy słuchać żałośliwych melodii, dobytých ze strun, choćby pokaleczonymi palcami, choćby kikutami. Najszcześliwszymi się czujemy, gdy mamy więzy na rękach, gdyż możemy się buntować, największą też wtedy okazujemy żywotność, gdyż możemy je targać i śpiewać pieśni o bohaterstwie, o cierpieniu, o męczeństwie, maczając słowa we krwi, ażeby się każde zapurpurzyło i rozgorzało. Ale czy to ciągle szamotanie jest cechą narodu twórczego? Czy ta pieśń jest wyrazem żywotności?

W PIÓRZE CIOSY KILOFA

Poezja nie może być pieśnią niewolników, lamentem w mrokach, na ruinach, czy pod murami biblijnego Jerycha, czy podbudką bojową pod trzepotem proporzyczek ułańskich, czy opiewaniem buntu, bojów, męczeństw, cierpień, krat więziennych, zbieraniem krwi pod szubienicami, rozkopywaniem grobów, aby trupy zlewać łzami, ale musi być podnieta, a gdy potrze-

ba, chustą do otarcia potu z oblicza spracowanego, kubkiem wody źródlanej, podawanej spragnionym wargom, pokrzepieniem, przewodniczką, wyrazicielką woli zdobywczej, ambicji twórczej. Burzyć marzenia poety „o trumnie z polskich sosen”, a budować z polskiej stali czyny dla żyjącego narodu. Pisarz ma w piórze ciosy kilofo i płomień pochodni, toteż ani dzisiaj, ani jutro nie może melancholizować, śnić w różowej mgłę o nastrojach nad ruczajem, nad spróchniałą wierzbą, chwytając melodie słowika, zawodzącego w noc majową.

NIE POPULARNE RUPIECIE

— Chcecie, aby autor, zstąpił na niziny, schlebiał tłumowi, karmił go lichotą?

— Nic podobnego. Odpadkami czy zgnilkami nie wolno żywić zdrowego ludu. Sztucznych skrzydeł nie można przypinać, niech one same wyrastają z duszy, aby były jej polotem. Nigdy nie zniżać się do poziomu pospólstwa, do kałuż, aby z błota lepić kukły do zabawy tłumów, ale właśnie porywać z nizin na szczyty, w słońce. Chłop taki, jakiego znam, jakiego mam na myśli, już dojrzał, już nie potrzebuje literatury popularnej, bo on sięga po dzieła najwyższego lotu, najszerzego zasięgu. Musimy bezstronnie stwierdzić, że posiadamy bardzo mało książek, mogących zaspokoić potrzeby odrodzonej wsi. Jakże często dochodzą do rąk śmiecie, wyrzucone, rupiecie, książeczki zupełnie przestarzałe, nie warte funta kłaków, jeszcze dla pańszczyźnianego chłopka, poczciwego i potulnego kmiotka, a nie dla obywatela, członka kulturalnego narodu. Ta tak zwana popularno-naukowa literatura...

Dotychczasowa literatura popularno-naukowa, nawet tak zwana beletrystyka, w większości swojej nie odpowiada ani upodobaniom, ani umysłowemu rozwojowi chłopka, ani też stopniowi powszechnej oświaty wsi, dlatego też nie może spełnić swojego zadania. Jakże często młody, uświadomiony chłop z uśmiechem lekceważenia odkłada te książeczki, co, miast być pokarmem, są mętnym napojem, zabarwionym lichą namiastką, a nie wodą zdrową, krzepiącą, czerpaną z górskiego źródła. Chłop, szanujący swoją godność, nie cierpi poklepywania, ani też nie znosi, gdy ktoś uważa go za nieporadne dziecko i bierze go za rączkę: „kochany kmiotku, cierpiśz nędzę, więc muszę nad tobą zapłakać, jesteś ciemny, więc muszę cię oświecić z pomocą bożą, pouczyć; nie znasz drogi w otaczających cię mrokach, więc muszę ci zaświecić kaganek oświaty; uważaj, abyś nog nie pokaleczył, abyś nie potknął się na kamieniach i nierównościach”. Wtedy musi mieć uczucie niższości i upośledzenia. W takich wypadkach gotów lunąć w pysk lub skoczyć do ślepi i huknąć po swojemu — a idźcie ciarachu miastowy ode mnie, pókim dobry, bo ci kości poprzetrącam. We mnie krzepkość, moc, rozmach. Posiadam swój zdrowy rozum, a nie wasz, z książek, całkiem ogłupiały.

— Zagadnienie trudne. Trzeba zbadać upodobania wsi, a one są odmienne, niż ogółu. Lud nie lubi czytać dzieł o swoim życiu, czego dowodem są „Chłopi” Reymonta, „Na skalnem Podhalu” Tetmajera i niemal wszystkie dzieła Orkana.

— Znow jeden z licznych przesądów. Wiele utworów nie odpowiada ideowo młodemu pokoleniu i właśnie do takich należą nawet „Chłopi” Reymonta. Chłop najbardziej boi się wyśmiewania. Nieraz spotka go nieszczeście i nikomu nie zdradzi tajemnicy, nawet najbliższemu sąsiadowi, „boby miał uciechę i wysmiałby się”. W mieście spotykała go pogarda do mowy stroju, zwyczajów, do całego życia, dlatego też uważa, że Tetmajer jest wyśmiewcą i szydzi z niego, przedrzeźnia jego gwara. Chłop nie chciał siebie widzieć w zwierciadle pisarskim, bo się wstydził.

^(*) Fragmenty z „Zapomnianych źródeł” są jak je nazywa sam autor — „strzępami wyrwanymi z większej całości, pisanej w roku 1943 jako pamiętnik rozmów prowadzonych z działaczem ludowym Janem, który zajął obecnie szczytowe stanowisko w odrodzonej wsi. Całość ukaże się nakładem „Książnicy Atlas” (przyp. Red.).

JAROSŁAW JANOWSKI

*- * *

Nie zmoęła nas woda
tęłą porywistą.
Myśmy wyszli z topieli,
choć kruszyło się wszystko
i rozpacz ciężyla jak kłoda.

Nie spopielił
płomień naszych kości,
choć dymili piece,
jak żałobne chorągwie na wietrze.

Nie uwierzysz, jak dalece
rachunek życia się uprościł!
Płuc nie przeżarło
zatrute powietrze.

Nie zamknęła się ziemia
nad nami mogiłą,
choć padaliśmy gęsto
w głąb od krwi spoistą,
choć każdy cios oniemiał,
ale nie głuszył męstwa.

Nawet schwyłani za gardło,
obezwładnieni siłą
— wiedzieliśmy gdzie przystać.

Teodor Goździkiewicz

M A T K A

(fragment z powieści p. t. »Głosy z daleka«)

Matka!... jakaś nieujawniona krzywda... Jakiś przedłużony ból... Jakies zakryte cierpienie. Poświęcenie dla innych — dla mnie. Praca codzienna, wieczna, ordynarna praca: praca nie dla moralnego łgarstwa o jej pięknie, ale praca dla żarcia, dla istnienia. Robota. Harowanie: całe życie, lata, dzień dnia, z chwili na chwilę...

Oglądam obrazy i sceny, a jednocześnie snuje się przeze mnie druga nić — marzenie słowami...

— Matka!... cieniu mój kochany, cieniu — który odszedł, którego już nie ma i nigdy nie będzie... Spłakałaś oczy twoje nad kuchnią i kądziela i pożarła cię już ziemia. Pożarła twoje chude, wysuszone wiecznym niedojadaniem ciało chłopskie...

Widzę małą, wysuniętą ku lasowi wieś, ginącą w topieli zasłuchanych pól. Siwy dach przy dachu, jak chude stado krów ściśnięte w wąskim przejściu — to domy i stodoły. Podwórka maluskie, ozdobione gnojownikami po środku. Okna w domach małe, malutkie — jak kaprawe oczy zaspanego dziecka. Małe, żeby nie uciekła nimi bieda na góry — na lasy, ale siedziała tu, w tych domach postawionych ciasno, jeden obok drugiego na wąskich placach, gdzie chłop przewrócony w poprzek płacił szlabanowe dwom sąsiadom. Jednemu od nóg, drugiemu od głowy — za wtargnięcie na cudzą „dziedzinę”.

— Mamo, mamo!... ileś ty dni w roku musiała odraabiać na cudzym za ten dom, gdzieś mieszkała jako „komornica”. Ileś nocy nazarywała nad kądziela przy przysłicy, żeby odrobić skrawek ziemi na własny len? Pamiętam to, och, jak ja to pamiętam... I to też... także. Skończyłem szkołę powszechną — chłop czternaście lat jak obszył. Świadectwa, rodzice, koledzy. Nastroj — nauczyciele. Mowy, życzenia. Dostajemy papiery. Widzę cię przelotnym rzutem oka: siedzisz gdzieś tam od ściany i płaczesz. Złótką twarz, znaczną zmarszczkami w ramie perkalikowej w kwiaty chustki zawiązanej pod brodę. Jak to było? Aha! — wszyscy się rozjeżdżają czekają furmanki. Będą zabierać kolegów, ich łózka żelazne, sienniki ze słomą skrzyneczki. Na mnie nie czeka fura. Dopiero później może tam matka kogo uprosi. Bierzemy tylko moją skrzynkę. — Nie uniesiecie — mówią koledzy, rodzice. — Damy radę — mówi mama — za miastem zrobi się powróśło ze żyta i na plecy, to się uniesie... Mówisz to tak rzeźko, pewnie, ochotnie, niefrasobliwie, a mnie chwyta nagle jakiś dziwny stan: gorąco mi i chciałbym, żeby nikt na mnie w tej chwili nie patrzył. A tu pewnie patrzą wszyscy...

— Ech!...

W piasku drogi, która idzie przy domach wsi, bawią się dzieci najmniejsze. Tytle się tego dużo w ziemi suchej, pomieszanej z prochem rozbitego nawozu. Przepędzają tutaj przecież cztery razy dziennie krowy. Dzieci w koszulach tylko lnianych „dla chłodu”, gołymi siedzeniami zamiatają ścieżki i równają koleiny. Drugie tyle pasie po łubinach młodych, po perzawkach na podorywkach gęsi. Albo na miedzach, na rowach, po przyłaskach krowy. Wszystko tu pracuje: młodzi od podrostka, starsi do zdychającego dziada — wszystko jest wprężone do jednej wielkiej roli, do jednego olbrzymiego zadania: zarobić na jedzenie! na jedno żarcie!

Narasta gniazdo za gniazdem: idą w świat do Niemiec na roboty, za morze, rozrzucają się po całym świecie w poszukiwaniu chleba. Znają ich okoliczne dwory obszarników, majątki bogatszych chłopów. Czepia się do ziemi, piasków, jak mech kamieni lub grzyb gnijących szczątków drzewa. Zatyka swym cielskiem wszelkie społeczne luki, dziury niespodziane i wyrwy nadzwyczajne. Wsiąka i wsiąka w społeczne szczyrby przestrzeni świata...

Widzę bistro jak wczoraj — jak przed chwilą. Mała, jednookienna chałupa z glinianym tokowiskiem. Na oknie jedyna ulubienica całej rodziny — mnie i matki — lekarska, doniczkowa cebula. Oko w głowie dnia: trzeba podlać, przekreślić do słońca symetryczne sierpy liściastych wolut nasadzone na wylupiają łądę rośliny. Uniwersalny specyfik — we wsiowo gospodarsko-lekarskiej recepcji na wszelkie stłuczenia, wrzody i „bole”. Matka odcinała z nieklamanej boleścią, dwa, trzy kwadraty tłustego, śliskiego liścia proszącym, a potem bliska płaczu (i zła) ranę rośliny zalewała olejem.

Wiosna wypędzała ją do boru. Zbierała dzień dnia dzbanki czarnych jagód i w targowe dni biegła z tym do miasta. Nie mogła odżałować czasu, który musiała poświęcić sześciomorgowym dziedzicom na odrobek za leszkę lnu, który jej pozwolili tu i ówdzie siać. Jesienią powtarzała się ta sama historia z grzybami, które spędzały ją o szarym świecie, ażeby się nie dać nikomu wyprzeżyć... Kawałek tylko chleba do koszyka...

— Eh, mamo!...

Wszędzie i zawsze już, pamiętam, towarzyszyłem matce w tych borowych kampaniach — przy jagodach, grzybach, jeżynach. Nawet w dnie, kiedy szła do miasta, dla zmniejszenia straty chodziłem sam. Rozumiałem już

wówczas — małe dziecko — że nie zbierać, to nie mieć i nie jeść. Oprócz tego dla zachęty kupowała mi matka bułkę, czerwonego długiego cukierka za grosz lub w razie zapotrzebowania przeze mnie kozik o drewnianym trzonku.

Zima miała u nas inne oblicze. Siedzieliśmy w domu. Matka przędła i przędła nieskończone, niewyczerpane czapy kądziel, a mnie się zdawało, że cały świat jest z lnu. Na święty Michał, który był patronem naszej parafii, w dzień odpustowy, który zamykał po większej części trud kopania kartofli i siana, raz kupiła mi matka elementarz.

— „Bydziesz się tero uczył” ...ach, mamo, mamo...

Była to niewielka, szara książeczka. Na wierzchniej okładce widniał obrazek Matki Boskiej z dwiema krechami niemilosiernie porabanej twarzy przez „zbójców” i Pan Jezus o twarzy starego człowieka. Pod okładką na samym zaraz wstępie stał pacierz: od Ojczenasza do wszelakiego autoramentu przykazań. Potem równe szeregi dużego i małego abecadła...

Wystrugałem sobie z patyka brzoźowego „skazówkę” i uczyłem się. Na ławce, tuż przy przysłicy matki miałem rozłożony elementarz na dużym abecadle i jeżdżąc „skazówką” po znakach, powtarzałem za nią:

A, B, C, D... ach, mamo... bo to były litery dla mnie? pięcioletniego bębna? Skąd ci się wzięło mnie uczyć takiego małego berbecia?

Sypały się na stronicie z ciemnego tandetnego papieru siwe październik z kądzieli, które musiałem ustawicznie zdmuchiwać. A ja się uczyłem liter dużego abecadła. Bo to jednak dla mnie były litery? co to były te litery? Widziałem tylko w ich obrazkach pewne podobieństwo do przedmiotów z otoczenia, które znałem. A — przypominało mi rozpórkę do skórki z królika; D — było takie samo, jak piłka z pałagiem do galezi; T — równało się autentycznemu młotkowi; C — niewytłumaczoną rzecz koleja miało kształt obróconego ucha od fajansowego czajniczka, które przechowywałem pod stołem, a które matka starannie omijała miotłą podczas rannych i popołudniowych porządków. L — przypominało bardzo koś (bez rączki), a Ł — jeszcze bardziej (z rączką), O — zupełnie nie różniło się od wierzchu opalki na stróżyny od kartofli, a P — było jak siekierka z odwróconym ostrzem, na co nie było rady.

Potem przyszły komplikacje. E — przedstawiało człowieka z wyciągniętymi rękami i nogami przed siebie i dużym nosem, F — takiego samego osobnika, który jednak przenosi pozę stojącą, M — nadzwyczaj przypominało huśtawkę bez górnej poprzecznicy. Świat cały widziałem teraz z liter. Dostrzegałem te znaki w płocie, na drzewie, w sadzie — wszędzie. Wszystko było z liter. Otoczenie weszło w litery, a litery były w otoczeniu.

Kiedy poszedłem do szkoły, miałem już około ośmiu lat i nieźle czytałem. Ostatecznie ten elementarz zrobił swoje. Niezapomniana to była szkoła — za wzgórkami w sąsiedniej wsi. Kiedy u nas wszedłem na plot, to widziałem jej trójkątny szczyt z ciemną plamką prostokątnego okna. Murowany budynek, nowy nawet, klasę miał dużą od południa i schody, mieszkanie dla nauczyciela od północy i wschodu. Te nauczycielskie pokoje były dla mnie egzotycznymi zakątkami. Nigdy nie można było do nich się dostać. Nie było okazji. Rzadko tylko, może raz w roku mogłem przez niedomknięte drzwi zerknąć z korytarzyka do wnętrza. Leżał na środku pod stołem czarny dywan. Na oknach kwitnęły pelargonie.

Przyszliśmy z matką jakoś w jesieni. Czekaliśmy w klasie. „Pan” był w ogrodzie. Oglądałem klasę i ławki z jakimś zabobonnym lękiem. Stały wyrzędowane, proste, surowe, nieme, zasłuchane. Ciągnęły moje oczy dwa kolorowe obrazki w złotych ramach na północnej ścianie — jakiegoś młodego pary ludzi barwnie wystrojonej. Twarze mieli gładziutkie, różowe, jak z najdelikatniejszego ciasta. Wszedł nauczyciel — młody człowiek,

starannie uczesany. Kolnierzyk bieleł się pod brodą. Granatowy garnitur miał w sobie coś świątecznego. Matka pocałowała go w rękę. Ja drugi za przykładem.

— „Przyszłam oto grzecznie pana prosić, możeby ty mój mały mógł chodzić do szkoły?”...

Okazało się, że nie jest to taka łatwa rzecz. Nie mogłem chodzić, bo nie mieliśmy ziemi. Matka w nadziei, że ten zakaz da się w jakikolwiek sposób obejść, obiecywała to — owo, a to odrobić, a to zapłacić co nieco. Pocałowała jeszcze raz jego rękę. Ale to wszystko było próżne.

— Nie wolno... nie mogę... mogłoby się wydać...

Nie był to jednak człowiek zły w gruncie rzeczy. Sam poddał myśl. Żeby to kto, kto nie ma łzieci, przyjął go na swoje nazwisko, w razie czego jak inspektor przyjedzie — to by się dało zrobić.

— A jak się będzie nieźle uczył, to możecie nie płacić...

Znalazł się taki ochotnik do udzielenia nazwiska. Matka zaofiarowała mu swoje usługi na polu czy w domu.

Poszedłem do szkoły. Miałem nową tabliczkę, nowy rysik, nowe buty, kapotę i czapkę. Klasa pełna była dzieci. Pierwszoklasne stały po bokach — zdezorientowane, onieśmielone. Starsze z dumnymi minami, pewnie siebie chodziły po klasie potracając maćców i jak domacierzystego portu zawijały na ostatnią ławkę — najwyższy oddział.

Zatrzymałem się przy oknie jak wmurowany w ziemię. Patrzyłem na to wszystko z najwyższym zdumieniem. Rzeczy otaczające były jakby przewróconym światem. Pałyły mnie oczy tych dzieci, choć nie wszystkie patrzyły na mnie. Ubranie, nowe jaskrawe ubranie parzyło mnie i dusiło. Po co mnie ta matka obula w nowe buty? Po co? Żeby mi jeszcze dodać wstydu? Dzieci są w zwykłych ubraniach. Dzieci są bosy. „Ona” Ubranie posiada jeszcze zapach jarmarcznego krawca. Czuję to wyraźnie. Guzelek zwiniętej chustki ciśnie mnie w nogę. Jak coś obcego, jak coś niepotrzebnego. I nie na miejscu. Patrzę w obrazy. Żółte ramy. „Ona” ma brodę ciemną. Szarfy jakieś, sznurki, ordery i krzyże. Oczy nieruchome portretowe. „Ona” wysoko upięte włosy. Goła, różowa szyja błyszczy jakimś jaskrawym światłem.

Ktoś mnie zawołał z ławek. Zwracam w ciasnym kolnierzu unieruchomioną głowę. Haftka kluje boleśnie skórę. Widzę kto — uśmiecha się porozumiewawczo. To chłopak sąsiada, z którym wywłóczyliśmy się po wszystkich miedzach. Z trudem, z wysiłkiem, cały w ogniu doszedłem do niego. Siedział z brzegu w długiej, ośmioosobowej ławce. Wyjął książkę spod ławki i mówił:

— Bydziesz się uczył pó rusku — zobocysz...

Otworzył książkę na chybił-trafił. Stały tam dwie butelki. Zaczął czytać:

— Odną butylką mała, drugą butylką duża...

Cały wstyd, całe skrepowanie przetransformowały mi się w śmiech. Płutek tym śmiechem, co mojego sąsiada do dalszych pobudziło wysiłków. Śmieszyla mnie tak ogromnie owa „butylka”... Dziś wiem, że pół na pół stwarzał, ale wówczas patrzyłem na niego z uznaniem i podziwem, że tak dużo umie.

Matka owinęła mi w róg chusteczki od nosa ileś tam pieniędzy, upominała surowo, żebym nie zgubił i kazała zanieść „panu”. Ach, com przeżył! Gdzie tu oddać? w klasie? przy tylu dzieciach? Nie — za nic na świecie!...

Pan był w koszuli i mył się... Stara, sucha, wysoka gospodyni stawiała talerz jajecznicy na stole. Zaczęłam coś niemrawo mówić i suplać węzeł obejmujący grzesze. Ale nauczyciel nie wziął. Wyraźnie nie wziął. Ogłuchem i osłupiałem: koniec. Koniec temu wszystkiemu. Całkowity. Nie wiem, jak wyszedłem z kuchni. Coś mnie wyniosło, zabrało, posadziło w ławce i zamknęło usta do końca lekcji. Zobaczyłem matkę. Ona — siedzeniem i własnym ciężarem ciała przytrzymała, przyciska do ławki deseczkę przysłicy. Elementarz. Na brudno umorusane stronicie, porżnięte ostrą skazówką sypią się drobne październik. Jakby mnie ktoś spętał, związał w środku. Nic mi się nie chciało. Nie mogłem nic robić. W domu opowiedziałem wszystko matce z płaczem. Powrwała chustkę i zaraz od ręki w dyrdy pobiegła. Ale wróciła uradowana. Poznałem po zamknięciu drzwi, po sposobie jak odjęła chustkę.

— Ady nie płacz, nie — pan nie weźmie pieniędzy, bo się dobrze uczysz...

— Ech, mamo, mamo! czy ty wiesz, że twoim ciężkiem pomogły: wojna i niepodległość kraju?... tak, tak — mamo, cieniu, któryś był i minął...

W następnym numerze:

Pisarz chłopski
o Śląsku

Zdzisław Hierowski

Pomocy pionierom!

Ma na ziemiach odzyskanych swoje bolączki wieś i ma je miasto. Często łączą się one bardzo ściśle.

Przed wszystkim rzuca się w oczy paradoksalne zjawisko przeludnienia, jakie wynikało z zasilenia polskim żywiołem repatriantów i osadniczym ziem, z których nie usunął się element niemiecki. W niektórych okolicach podgórskich Dolnego Śląska spotykamy jeszcze skupienia niemieckie, pochodzące z ewakuacji z zachodu Niemiec i z miast zniszczonych przez bombardowanie. Wszystko to powoduje silne zagęszczenie ludnościowe zarówno na wsi jak i w mieście. W Kłodzku n. p. za ledwie około dziesięć procent Polaków z sześciu tysięcy tam osiedlonych posiada mieszkania. Na wsiach gospodarstwa, na których Polak byłby niepodzielnym panem należą do naprawdę wyjątkowej rzadkości.

Nie można się dziwić, że w tych okolicznościach komplikuje się przede wszystkim sytuacja aprowizacyjna. Zbyt wielu konsumentów oczekuje na plony zniszczonej wojną ziemi. Nie znajdziemy tu niemal powiatu, który byłby aprowizacyjnie samowystarczalny. Część zasiewów zniszczona została działaniami wojennymi, przemarszem wojsk i licznych taborów oraz przesunięciem się przez niektóre przy szlakach położone tereny olbrzymich stad bydła. Szczególnie ciężko przedstawia się zaopatrzenie w tak podstawowy produkt, jakim są ziemniaki. Ewakuacja ludności przed działaniami wojennymi spowodowała, że w wielu okolicach ziemniaki zostały zasadzone bardzo słabo. Znaczną ich część zużyło wojsko, a obecnie w kopaniu pomagają prawowitym gospodarzom ukradkiem Niemcy, gromadząc w ten sposób zapasy na zimę. Ponadto ogólne zasoby ludności zostały pomniejszone odpadnięciem części zbiorów z majątków zagospodarowanych przez wojsko. Niski stan bydła i trzody powoduje brak mięsa i tłuszczów. W powiecie grotkowskim relacjonowano nam, że na jedną wieś przypada przeciętnie sześć krów a są też wsie, gdzie znajduje się tylko jedna krowa. Bydło tego powiatu musiałoby pozostać nietknięte i rozmnażać się normalnie przez lat dziesięć, by doszło do poprzedniego stanu pogłowia.

Przejechawszy kilkaset kilometrów, widziałem przy pracy jeden traktor i jedną parę koni. Gdzieś tam pojawiły się ostatnio traktory amerykańskie, które będą miały sporo roboty z wykonaniem jesiennej orki. Rymiczna praca ich motorów umacnia jednak nadzieję. W wielu okolicach brak prądu na skutek zniszczenia sieci i zakładów energii elektrycznej unieruchomił elektryczne młocarnie i czyszczalnie zboża. Pomiedzy Głucholazami a Nysą byliśmy świadkami, jak polski osadnik młócił pierwszy metr zboża. Brał się jednak do pracy z rozmachem i energią, z wiarą, że przetrzyma i wyżyje, że zasieje i zbierze większy plon.

Ale wieś ma inne jeszcze bolączki. W pięknie osiedlonej przez repatriantów wsi Wójcice koło Odmuchowa zebrała się gromada na nasze przyjęcie w świetlicy. Nastrój był świąteczny i można powiedzieć podniosły. Przyszli podzielić z nami swoje radości i smutki. Wśród tych ostatnich na plan pierwszy wysunął się brak artykułów pierwszej potrzeby. Wieś repatriantka nie ma za pałek, soli, mydła. Sól kosztuje 24.— zł kilogram a chłop nie ma pieniędzy. Zasilki repatriantek szwankują mocno, a zresztą pomyslane są przecież jako kredyt inwestycyjny, a nie konsumpcyjny. Zbyt na produkty rolne nie ma, bo wywóz poza powiat zakazany, a i tak do zbicia jest tego niewiele. Zbyt na rynku wewnętrznym jest mały, bo miasto też nie obfituje w gotówkę.

Znaczną część tych niedomagań dzieli wieś z miastem z tym, że tutaj sytuacja aprowizacyjna jest jeszcze cięższa, a stołówki przypominają najgorsze czasy z ostatnich miesięcy w Katowicach.

W naszej wędrowce spotkaliśmy jedną oryginalną miejscowość. Jest nią uzdrowisko Kudowa, skupiające już dzisiaj około tysiąca Polaków. Burmistrz postanowił nie dopuścić tam do wolnego handlu celem zapobieżenia t. zw. szabrowi. Są tam już liczne urzędy i sklepy, ale nie ma handlu. Ta cała tysięczna kolonia polska, że ją tak nazwę, żyje po prostu ze stołówek. Wszyscy bez wyjątku i to bezpłatnie. Jak długo potrwa ten eksperyment — niewiadomo. Ludzie w każdym razie są twardzi, chodzą regularnie do stołówek i czekają, co z tego będzie. Stosunki to trochę pierwotne, ale są też pewnym przejawem pionierstwa i mają swe dobre strony, które może dopiero ukaże przyszłość.

Jedną z bolączek miast tej ziemi jest brak węgla. Sprawa ta wraz ze zbliżającą się zimą i możliwościami uruchomienia przywracanych do normalnego stanu stopniowym wysiłkiem fabryk nabiera ostrości i domaga się załatwienia. Śląsk bez węgla byłby swoistym paradoksem.

Komunikacja i transport to też źródło wielu utyskiwań. Skarżono się na to szczególnie w Grotkowie i Niemodlinie. Te dwa miasta powiatowe, pozbawione jeszcze prądu, nie mają najpotrzebniejszych mostów do bezpośredniego połączenia kolejowego z Nysą i Opolem. Transport samochodowy doprowadza nawet przy zastosowaniu państwowych środków komunikacji do przykrych dysproporcji. W Niemodlinie n. p. przydziałowy

cukier przywieziony z Katowic kosztuje 16 zł 80 gr. za kg. W Grotkowie również ponad 10.— zł.

Nie chcę, by ktoś zrozumiał ten cały rejestr niedomagań gospodarskich ziem dolnośląskich i leżących na lewym brzegu Odry, jako zamiar zniechęcania ludzi do osiedlania się tam. Informatorzy nasi, którzy na to wszystko narzekali też nie mieli tych zamiarów. Może czuli się u nich nawet odcień dumy i zadowolenia z siebie, że potrafili to dzielnie przenieść. Zarówno oni jak i my mówimy to wszystko po to, by wskazać na najpilniejsze braki i brakom tym jak najskuteczniej i najszybciej zaradzić. Trzeba przypomnieć, że akcja osiedlania nie kończy się na osadzeniu ludzi na przeznaczonych dla nich miejscach. Z tą bowiem chwilą zaczyna się życie i ludziom tym należy w organizowaniu tego życia jak najskuteczniej dopomóc. Podobno powołany jest do tego Wojewódzki Komitet Osadniczy i podporządkowane mu placówki powiatowe. Niestety stwierdzić muszę, że w żadnym mieście nie spotkałem się z żadnymi przejawami

mi działalności tej instytucji, więc znaczy, że trzeba tu kogoś zbudzić z drzemki i rozruszać.

Na tym tle o ileż silniej i jaśniej występują pozytywne osiągnięcia pionierów zachodu! Jakżeż cenny staje się każdy owocny wysiłek, jakim przykładem jest każde konkretne osiągnięcie, każdy uruchomiony warsztat pracy, każda normalnie pracująca palcówka, każdy dobrze pracujący urząd czy szkoła. W tym oświeceniu specjalnych walorów nabiera wola, wytrwania i zwycięstwa prawdziwych pionierów, wysiłek chłop polskiego, który w niejednym powiecie spełnił już całkowicie swój obowiązek świadczeń rzeczowych i dokonał w znacznej mierze zasiewu. Repatrianci z pod Tarnopola w Wójcicach zaorali już w 100%. W rejonie Głucholazów dokonano tego w 70%. Powiat niemodliński też już osiąga wyznaczoną mu normę. To są meldunki, które mają swą wymowę i wołają o pomoc. Zapali i entuzjazm nie starczy. Przewycięży on jeszcze wiele, ale mogłby się załamać w najbardziej decydującym momencie.

Dlatego pomyślimy o nowym hasle: **pomocy pionierom!**

Jeszcze o „Dożynkach” Anny Kamieńskiej

Drukowane przez nas w poprzednim numerze „Wiś” sceny ze sztuki Anny Kamieńskiej „Dożynki”, są dla uważnego czytelnika materiałem teatralnym ludowym zupełnie nowego rodzaju. Jaki! — można by zapytać, — sztuka tak bardzo „obyczajowa”, obrzędowa, nawiązująca najwyraźniej do wiekowego zwyczaju? I to do zwyczaju typowo „pańskiego” — bo przecież dożynki od wieku są świętem wiejskim na cześć pana ustanowionym, — bo szlachcicowi to do dworu szedł korowód dożynkowy, niosąc symboliczny dorobek całego roku. Żeby choć pokazany był nowy element tego zwyczaju, — niechby wysmiany był dotychczasowy dziedzic, niech wyraźnie będzie widać, że chłopci odziewają się od tego symbolu wiekowej niewoli! Tymczasem nie — obrządek prawie bez zmian zachowany, tak samo śpiewny i taneczny, tak samo poetyczny... tyle tylko, że pana już nie ma, co zresztą niezauważone przechodzi — i tylko w kilku zdaniach, gdzieś tam, przewija się ta treść nowa: że chłop obchodzi dziś dla siebie, nie dla „włódarki”, — dla gminy, nie dla dziedzica...

Ale chociaż poetka ocaliła piękno obrzędu, serdecznie nas wiążąc, nowemu chłopu przekazując całą tradycję uroku i godność święta, jednak przez wprowadzenie postaci ZEBRAKA napótł symbolicznej, zaznaczyła wyraźnie zmianę, jaka się dokonała. ZEP

PIOTR STOPCZYK *)

Kębliny w oberku

Więc zaczynam od pierwszego,
od młodego bezmyślnego:
Ożenił się, zrobił długu,
poszedł orać, spał przy pługu.
Toteż za to, że był śpiochem,
nie chciał mu rość owies z grochem.
Trzymał się baby za schaby
i narzekał, że jest słaby,
Do roboty nie miał siły,
ale dzieci się rodziły.
Nie robił jak robią drudzy:
Klimczak, Stawski i Jarmuzy.
U Franciszka dobrze leci,
choć ma jedenaście dzieci,
Ale Ignac jak obity,
bo ma dosyć od kobiety.
Taka dziarska, taka żywa,
lecz za bardzo gadaliwa,
To on nie wiele narzeka,
zatka uszy i ucieka.
Mówi: baba, jak się uprze,
usmarcze się i nie utrże,
A że dobra gospodyni,
pozna siebie to się zmieni.

*) PIOTR STOPCZYK, 70-letni gospodarz z pow. brzeskiego jest przedstawicielem poezji samorodnej twórczości pisarskiej ludu, odciętej niemal zupełnie od wpływów kultury ogólnonarodowej. Ten typ pisarstwa chłopskiego, skazany jest na nieunikniony zanik: rozwój oświaty wprowadzi do twórczości ludowej nową pierwiastki i upodobi ją do twórczości innych grup społecznych. Tym starszemu należy zbierać ślady owej twórczości chłopskiej z okresów wcześniejszych, jest ona bowiem dokumentem kulturalnej przynależności warstwy chłopskiej, jest dowodem, że bogactwo życia duchowego, umiłowanie piękna i ambicja twórczości artystycznej nie były nigdy wyłącznym przywilejem klas posiadających.

Rubaszny humor Stopczyka nie wyładowuje się w

Stach Buczyński jest wstydlivy,
a Andrzejczak podejrziwy.
Łączeskie by źle robili,
lecz za dobrych uchodzili.
Duży Chajdys był sotyssem,
a jego zięć tylko łysym.
Staśko Marek z Babulińskim
drepcą sobie truchtem świnią.
Ja się tam z nim nie slaniom:
oni nawet w sądzie kłamią.
Babuliny każdy łaje:
należności nie oddaje.
Ma opinię bardzo lichą,
zwiąż ją znaną cyganią.
Moja Maryś, żonka miła,
język sobie postrzępiła,
Bo ma długi jak paprzyce,
dziamie jak psiać na kocię.
Konczarkowa, jest niepłocha,
tę kobietę tobym kochał,
Bo jest wdzięczna, bardzo miła.
Żeby moja taka była!

bestroških igraszkah poetyckih na marginesie życia gromadzkiego, przeciwnie, znajduje on upust w satyrze obyczajowej, chłoszczącej wady i grzechy najbliższej autorowi gromady. Poeta chłopski o najbujniejszej nawet życiu wewnętrznym jest zawsze człowiekiem zbiorowości, jest jej wyrazicielem. Oto drugi ważny powód, dla którego warto zwrócić uwagę na te najprawdziwiej chłopską poezję w rodzaju wierszy Stopczyka, bo ta jej charakterystyczna właściwość: bezwzględna przynależność do życia zbiorowości — jest cechą, którą pragnęlibyśmy widzieć również w młodej poezji chłopskiej, przezwyciężającej już swoją chłopskość w ambicji osiągnięcia poziomu poezji bezprymitywnej, poezji ogólnonarodowej.

S. L.

FAKTY I ZDANIA

REAKCJA PRASY LEWICOWEJ NA ŚMIERĆ WINCENTEGO WITOSA

Tak się stało, że Wincenty Witos, odsunięty od udziału w życiu politycznym na przeciąg 20-u lat, najpiękniejszych lat w życiu męża stanu, — zmaltretowany kazią brzeską, która przerwała jego karierę parlamentarną zaledwie w jej początkach — zmarł właśnie w okresie, gdy w nowym ludowym państwie nowe objął godności, i gdy szykował się do odegrania nowej politycznej roli. Wiele jest tragizmu w tej śmierci wodza chłopów polskich — w takiej właśnie chwili. Jeszcze parę dni temu wicepremier Gomułka, przemawiając w imieniu Polskiej Partii Robotniczej, atakował stronnictwo, na którego czele stał Witos; jeszcze kilka tygodni temu organ walczącej lewicy, „Kuznica”, zamieścił karykaturę, wyobrażającą księdza, stojącego za Witosem, — karykaturę zarzucającą PSL-owi ustepliwość wobec reakcyjnie nastrojenego duchowieństwa. Nie pierwszy to raz polityka Witos budziła zastrzeżenia po stronie lewicy; w 26-ym roku znacznie ostrzejszy był antagonizm, znacznie cięższe padały zarzuty, a socjalistyczny „Kurier Poranny” drukował w ironicznych tytułach: „Gospodarz Wincenty Witos z Wierchosławie premierem?”, „Gospodarz Witos otwiera przewlekle przesilenie”, itp.

A jednak, dzisiaj, w dniu śmierci tego niezwykłego chłopca, każdy Polak, który bierze do ręki prasę, uderzony jest jej jednolitym tonem. Nie są w stanie go zakłócić zarzuty i zastrzeżenia, bo nawet tam, gdzie one są, góruje jednak, w ostatecznym wydzwieku, hołd, szacunek, a nawet ton serdecznej tkliwości, na który prasa nasza, na ogół sucha i kosztowna; rzadko sobie pozwala. ZMARŁ WIELKI POLAK, ZMARŁ WIELKI PRZYWÓDCA LUDU, ZMARŁ BOJOWIEC O WYZWOLENIE LUDOWE — oto tytuły, w jakie pisma Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej zaopatrzyły wiadomość o tej śmierci. Przypomina się wzdargliwa i zbywająca reakcja prasy sanacyjnej na śmierć Ignacego Daszyńskiego, czy Romana Dmowskiego — i w tym porównaniu tkwi element osobliwego podniesienia na duchu. Znowu minie parę dni, i znowu zapewne rozgorzeje antagonizm polityczny, znowu wybuchnie dyskusja między partiami, przerwana śmiercią wodza jednej z nich. Ale pozostanie wspomnienie tej jedności nad trumną, jedności o wielkim znaczeniu moralnym — bo świadczącej, że pomimo przeciwności politycznych, choćby ostrych, — istnieje w Polsce solidarność ludowa, zahartowana walką wielu lat, i że na solidarność tę, znów obudzona w krytycznej chwili, natknie się każdy, kto w imieniu obszarnika, faszysty, militarysty, czy prałata ośmieli się wyciągnąć rękę po władzę.

Z. Kł.

GDZIE SZUKAĆ DOBREJ PUBLICYSTYKI

Wiadomo, że każdy naród przyzwyczajony jest do pewnego sposobu przemawiania, który najbardziej trafia mu do przekonania. Przysłowiowy jest angielski styl parlamentarny, ostrożny i zawikłany: „Istnieje podstawa do przypuszczeń, że pierwotne przewidywania co do dalszego biegu zdarzeń nie pozwalają potwierdzić poprzednio wysnutych wniosków”, itd., itd. — a znaczy to po prostu, że się akcja udała, albo nie udała, czy coś w tym rodzaju. Dla nas wygląda to na obłudę, czy na śmieszny pretensjonalność, ale Anglików odstraszyłyby ktoś, kto by nie przemawiał w taki budzący ich zaufanie sposób. Czytelnik radziecki znowu przyzwyczajony jest do ślonych określeń i gwałtownych epitetów; prasa sowiecka pełna jest „niekczemnych knońskich politycznych”, „bandyckich spisków faszystowskich zdrajców” itp., a zawsze ma to znowu bardzo konkretną treść, np., że Argentynie nie należy ufać, i nie więcej. Ktoś nienawykły do tego stylu byłby przerażony — gdy to tymczasem jest tylko sposób wyrażania się. Otóż stało się tak nieszczęśliwie, że w pierwszej fazie niepodległości nasza propaganda, działając w gorączkowych warunkach, pozbawiona pracowników, popełniła dziesiątki błędów. Był to okres, w którym trzeba było przekonywać wielu ludzi przestraszonych, źle poinformowanych, wahających się, a każde słowo przyjmujących nieufnie — po ledwie minionej „gądzinówce” i „szczekacze” hitlerowskiej. A wtedy prasa nasza pisała o domniemyanych przeciwnikach w ostrym, grastyicznym i jaskrawym tonie. Powali usuwano te niedorzeczności, ale do dziś zostały nieznaczające hasła i banały „demokratyczne”, odpowiedniki sanacyjnego „hurrapatriotyzmu”, i dziwnie nieprzekonujący, niepomyślny, nieszczerzy, jakby przemilczający jakąś prawdę ton wielu artykułów. Szkody, jakie odnosi demokracja ze złej propagandy, są bez porównania większe, niż się przypuszcza. To też z prawdziwą radością notujemy przykłady dobrej publicystyki, jaka ukazała się na łamach tygodnika „Odrodzenie”: OSTROŻNIE Z BOMBĄ ATOMOWĄ Jerzego Borejszy (Nr 46) i ROZUMNA PRZYJAŹN Mieczysława Wionczka (Nr 48), który dał się już poznać, pisząc o Wrocławiu i Czechosłowacji („Narodziny Trzeciej Republiki”), jako najlepszy dziś bodaj sprawozdawca w wielkim stylu. Obydwa te artykuły, omawiające przyjaźń polsko-radziecką, są przykładem, jak niczego nie przemilczając, oświetlając bezstronnie i wyczerpująco, pamiętając o uczuciowym nastawieniu polskiego czytelnika — można go bez reszty, przekonać dla słusznej

sprawy. Te dwa numery „Odrodzenia” godne są jak najszerzego rozpowszechnienia na wsi, gdzie do dziś jeszcze bywa nieporozumień.

Z. Kł.

LEPIEJ PÓŹNO, NIŻ NIGDY — ALE LEPIEJ NIGDY, NIŻ W TEN SPOSÓB

Nareszcie, po wydaniu 46-u numerów, po dwóch latach swego istnienia, w numerze 47-ym „ODRODZENIE” zauważyło egzystencję tygodnika literacko-społecznego „Wieś”. Jest to na przestrzeni połowy tysiąca stronice, na których „Odrodzenie” traktuje wszelkie problemy kulturalne, jedna wzmianka petitem, w rubryce PRZEGLĄD PRASY, Ale niestety! „Masom ludowym, budzeniu ich świadomości, służy tygodnik „WIEŚ”. Na liście Boską, GDZIE, KIEDY, KTO tak twierdził, że organ literatów chłopskich służy budzeniu mas? Czy to jasno nie wynika z charakteru naszego pisma, z tematu naszej publicystyki, wreszcie z artykułu J. Al. Króla „Kto czyta „WIEŚ”? „WIEŚ”, Nr 15) — czem jest, a czem nie jest tygodnik, którym zainteresował się sprawozdawca „Odrodzenia”? Jakby to, u licha, wyglądało, gdybyśmy zaczęli wychwalać „Odrodzenie”, że z roli pisma dla młodzieży świetnie się wywiązuje, że informuje masy szybko i dokładnie, albo, że jako tygodnik satyryczny znacznie prześcignęło „Szpilki”? „Powstanie oddziału wiejskiego Związku Literatów, niezależnego materialnie przez organizacyjne powiązanie ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej, jest dla sprawy upowszechnienia kultury...” DOŚĆ! Czytelników „Odrodzenia” tą drogą zmuszeni jesteśmy objaśnić: 1) że po raz pierwszy w historii naszej kultury zorganizowany Oddział Pisarzy Chłopskich nie ma absolutnie nic wspólnego ze Zw. S. Chł., który jest organizacją gospodarczą i polityczną, — a utrzymuje się ze składek członków, co mu właśnie zapewnia kulturalną niezależność; 2) że upowszechnianie kultury jest zadaniem szkół, nauczycieli i prasy, Związek zaś takiego celu sobie nie wyznaczył. Reklamę jaką „Odrodzenie” robi (petitem) Związkowi trudno uznać za szczęśliwą. Trudno w ogóle uznać za szczęśliwą politykę „Odrodzenia”, głównego literackiego, prorożkowego pisma, — wobec problemu kultury ludowej. Dotychczas poświęciło „Odrodzenie” tej sprawie 1 (słownie jeden) artykuł, w dziale HUMOR I SATYRA, zatytułowany „O 4. zw. literaturę chłopską”, który w tych poważnych czasach wywołał wiele serdecznej wesołości między działaczami ludowymi. To wszystko. „Dzieje się to w mieście, w którym mieszkają: prof. Bujak, prof. Ingłot, prof. Pigoń, doc. Spytkowski, prof. Mysławski, w czasach w których żyje dr Chałasiński i dr Krzyżanowski, w epoce, w której reakcyjny „Tygodnik Powszechny” do błahych stosunkowo problemów zaprzęga takich specjalistów, jak Czekanowski, X. Michalski, X. Piwowarczyk, O. Siwek, itd. itd.

Ale czytamy jak dalej zdaje z nas sprawę kolega „zb”: „Nie uważamy za celowe różnicowanie pisarzy wg pochodzenia, jak to czyni J. Al. Król, przeciwstawiając literatom pochodzenia mieszczańskiego literatów chłopskich, lub klasowe wyodrębnienie pisarzy chłopskich, jak to usiłuje Stefan Lichański”. Drogi kolego czy koleżanko „zb”, — gdybyście przeczytali do końca artykuły J. A. Króla i S. Lichańskiego, przekonali się, że owe różnicowanie wymieniają oni po to właśnie, aby je zważyć. Wreszcie chwali nas „zb” za drukowanie Ogi-Michalskiego. Wycieczamy mu reszcie niezauważonych pisarzy chłopskich, naszych współpracowników: J. Wiktor, St. Pięta, P. Kubisz, Jalu Kurek, St. Nędz-Kubinić, A. Olcha, J. A. Frasiak, J. Morton, J. Pogon, J. B. Ożóg, St. Skoneczny, M. Kubicki, W. Szewczyk, St. Bojarczuk, J. Bojar, doc. J. Spytkowski, St. Jucha, J. Pocek, J. Urban, E. Rączkowski, J. Baranowicz, E. Marzec, E. Wrona, Z. Sierp, S. Cieślak, P. Ziarnik i pozwalamy sobie powtórzyć radę, którą nas częstowano gdy byliśmy w wieku Kolegi(koleżanki) „zb”: by dużo czytać, a przede wszystkim to, z czego się pisze sprawozdanie. I jeszcze, kochany, odczytajcie tytuł tej tu wydrukowanej, a znacznie za długiej dla tej sprawy (lecz niestety, potrzebnej) wzmianki. I więcej nie pisujcie o nas.

Z. Kł.

OPORTUNIZM TEATRU POLSKIEGO

W N-rze 3 „Chłopskiego Sztandaru”, w artykule W. Wilbik „Chłopskie spojrzenie na literaturę” czytamy:

„Gdy po scenach teatrów chłopskich przewijają się drobne utamki własnej, samorodnej twórczości obrazującej przeżycia minionych lat, wysilek chłopski w walce z okupantem, udział w pracach konspiracyjnych — na wielkich scenach teatrów Krakowa, Łodzi, Warszawy, odrzewa się wkółko stary repertuar nieciekawych komedii.

Przybywajacemu z odległej wsi, wchodzącemu po paru latach nieobecności do teatru, jak do Mekki zdawna niedowiedzianej, kolorowe afisze rzucają w oczy tytuły ogranych przed wojną sztuk, spłycony program dający do schlebienia jak najbardziej przeciętnym zapotrzebowaniom publiczności miejskiej, omijający z rozmysłem sztuki wielkich twórców teatru.

Więc nie się nie zmieniło? Czy tak jak za TKKT? Czy tym tylko karmi się publiczność? Czy tylko wieś odczuła i przeżyła cały ten pięcioletni przełom? Czy ludzie w mieście zadowalają się małymi zagadnieniami, którymi

karmiono ich do tej pory? Oczekujemy czego innego! Chcemy by przeżycia w teatrze były równe napięciom tym, które przeżywalismy w rzeczywistości. Zbyt wielka wytwarza się rozpiętość między słowami rzucanymi ze sceny a tym wszystkim co danym nam było widzieć, odczuć i przemyśleć przez ostatnie lata. Nie pora tak szybko i z takim rozmachem rezygnować z wysokiego tonu, na który byliśmy napięci do tej pory! Spadek to zbyt katastrofálny!”

Tę „napaścią reakcyjnego organu” na teatr polski poczuł się podobno dotknięty pewien literat i pewien aktor, i przygotowują drukowaną odpowiedź.

Wyjaśnia w niej podobno, że chłopstwo nie poznaje się na wartości repertuaru, który ma w sobie głębsze demokratyczne znaczenie. I tak: „Lekkomyślna siostra” i „Moralność pani Dulskiej” demaskują niekczemność moralną klasy mieszczańskiej. „Dożywocie” wyszydza system gospodarczy oparty na pieniądzu, „Fantazy” ośmieszają ziemiaństwo itd. itd. Tymczasem w sukurs „Chłopskiemu Sztandarowi” przybywa W. Borowy w 1-ym N-rze miesięcznika „Teatr”.

„Po sześciu latach głodu teatralnego spragnieni jesteśmy wielkiego teatru. Nie nęci nas ani widowisko rozrywkowe (które byśmy kiedy indziej sympatycznie powitali), ani nawet tzw. normalny repertuar teatralny. Pragniemy wielkiej poezji, — przede wszystkim nowej, jeśli się zjawy (a może się zjawiać lub nie zjawiać; i wielkiej poezji dawnej — która jest niezawodna. Cierpkie artykuły niektórych krytyków o nowych premierach kto wie, czy nie tym się, właśnie humacz, że na pierwsze danie poczęstowano ich poezją nie dość wielką.”

Wyszukiwanie „głębszego znaczenia” w starych burżujskich komediach przypomina postępowanie jednego z czołowych poetów bratniej „Kuznicy”. Zakochany on jest w uroku życia, które niestety! przemienilo na zawsze. Cóż więc robi? Opisuje to za czym tęskni. Wiec dworski park... faun z brązu pokryty mchem... szum fontanny... wiatr porusza jedwabną firanką, a przy „ampirowym” stoliku dama trzyma w wytwornych palcach list na białostowym papierze. Piękny wiersz — ale jak go przemycić do „Kuznicy”? Poeta dopisuje na końcu: „Ale twar-da pieś historii zmiażdżyła to wszystko”, z czego wynika, że wiersz z pogardą opisuje minioną epokę. Tym sposobem poeta, który ma w szufladzie trzy kilo wierszy bez zakończeń, zabezpieczony jest od wszelkich kataklizmów, bo gdyby się coś zmieniło, wystarczy napisać: „Ale brutalna pieś bolszewizmu zmiażdżyła to wszystko”, i w porządku. Podobnie oportunistyczny teatr polski próbuje w nas wmówić, że „Dama od Maksyma” obrazuje rozkład francuskiego kapitalizmu”, itd. itd.

Tymczasem gazety donoszą, że genialny twórca polskiego teatru monumentalnego, Leon Schiller, objeżdża środowiska polskie we Francji z przedstawieniem, poświęconem chłopu polskiemu, Panie Leonie, niech pan wraca — tu czeka na pana widownia ludowa, o jakiej marzył pan przez lat dwadzieścia, widownia stęskniona teatru społecznego i wielkiej poezji!

Z. Kł.

MATERIAŁY W REDAKCJI

Tadeusz Brzechwa - Bernas nadesłał duży fragment z powieści pt. „Tajemnica dra Michny”.

Adam Fr. Kirlo - Nowaczyk nadesłał wybór wierszy oraz zbiór gawęd, zatytułowany „Na przyzbie”.

Józef Ozga - Michalski nadesłał „Poemat Nowosielecki”.

Jerzy Mieczysław Rytard nadesłał „List do trzech przyjaciół”.

Antoni Olcha nadesłał poemat „Moje Pole”.

Numer 15 „Wsi” zawierał:

Jan Aleksander Król: „Kto czyta „Wieś”, Stanisław Skoneczny: „Kosłka Napierski” (fragmenty z poematu), Zygmunt Kalużyński: „Czy teatr ludowy się odrodzi?”, Stanisław Jucha: „Podkrakowski namówiny”, Anna Kamieńska: „Dożywniki”, Dr Jan Sztandynger: „Znaczenie marionetek dla wsi”, Maria Barchanowska: „Dopokąd chłopem?”, ponadto — „Fakty i zdania”, ankiety.

WARUNKI PRENUMERATY:

Numer pojedynczy 5 zł

Miesięcznie 18 zł

Kwartalnie (za 13 numerów) 52 zł

Półrocznie (za 26 numerów) 95 zł

Wpłacać należy na adres:

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Dział prenumerat, Łódź, Piotrkowska Nr 62 (z za-
znaczeniem „na tyg. „Wieś”).

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
KOMITET REDAKCYJNY TERENOWY: Śląsk — Kubisz Paweł, Podhale — Nędz-Kubinić Stanisław, Krakowskie — Frasiak Andrzej, Kieleckie — Pięta Stanisław, Lubelskie — Pokora Leon (ze „Wsi Tworzącej”), Warszawskie — Kubicki Marian, Łódzkie — Bojar Józef.

Redakcja: Łódź, Piotrkowska 96.
Drukarnia: Łódź, Żwirki 2.
Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł.
w Spółdz. wyd. „Czytelnik”. D-06221